

# arena15

Pismo Międzynarodowego Stowarzyszenia Polskich  
Dziennikarzy, Pisarzy i Artystów

Halina Godecka | Bolesław Bieniasz | Marek Kot | Gitta Rutlege  
Stefan Godecki | Bożena Sroka | Danuta Kapergren  
Eugenia Cieszyńska









## Zamiast wprowadzenia.

...I nawet się nie obejrzałam jak przyszło mi układać treść 15 numeru Areny. To miłe, ale jeszcze miłsze są dla nas dobre wieści o sukcesach naszych Członków. Niedawno dała znać Ewa Walkiewicz, że została odznaczona odznaczeniem Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Gloria Artis. Wcześniej takie odznaczenie posiadała nasza Danuta Kapergren. Obu Paniom serdecznie gratulujemy i życzymy dalszych sukcesów. W obecnym numerze Areny zamieszczamy artykuł Danuty Kapergren o tajemniczej i mało znanej Świętosławie. Dziękujemy. Napisali dla nas również Bolesław Bieniasz, który nadesłał nie tylko swoje klimatyczne opowiadania. Mam nadzieję, że niedługo zechce wydać ich kolejną część, bo czyta się je. Stefan Godecki nadesłał jedno opowiadanie o swojej ukochanej Florencji i w drugim chyba zaczął wątek sztucznej inteligencji w naszym życiu, która z jednej strony jest fascynująca, a z drugiej wzbudza konkretne obawy, czy sobie z tym problemem poradzimy by sztuczna inteligencja nam pomogła a nie stanowiła dla nas zagrożenia. Już w poprzednim numerze swój debiut zaprezentował nam pan Marek Kot z Opola. Jest pierwszym piszącym kominiarzem w kraju i wydał swoją pierwszą książkę „Tajemnice Kominiarza”. Jest to zbiór opowiadań, które zainicjowała w jego praca na podstawie obserwacji i za zgodą osób opisywanych. Ilustracje do tej książki wykonał Janusz Motylski artysta plastyk, malarz, grafik, rysownik, ilustrator i tkacz. Ta ostatnia umiejętność zainteresowała mnie w szczególny sposób, bo to umiejętność zanikająca zwłaszcza w wykonaniu mężczyzn. Ta współpraca, mam nadzieję zostanie z nami na dłużej. W tym numerze prezentujemy za zgodą autora ilustracje do książki „Tajemnice kominiarza” Panie Gitta Rutledge i Bożenka Skroka ozdobią naszą Arenę wierszami o życiu, uczuciach i pięknie w nas i naszym życiu. Przed nami doroczne spotkanie, tym razem w Dworku pod Lipami na Giszowcu w Katowicach i wycieczka do Planetarium po wieloletnim kapitalnym remoncie w Chorzowie. O Planetarium pisałam w poprzednim numerze Areny, a w tym napisałam o początkach telewizji na świecie i polski wkład w jej powstanie oraz pierwszej spikerce z lat 50-tych, którą pamiętają pewnie jednostki? Zapraszam i życzę miłej lektury.

*Halina Godecka  
Redaktor naczelna  
Prezes MSPDPiA w Malme*

**Wiersze**

**Bolesław Bieniasz**

5

**Wiersze**

**Bożena Sroka**

7, 9, 35

**Ach ta telewizja!**

8

**Osiemnasty list do  
Szolema Alejchema**

**Bolesław Bieniasz**

12

**SI**

**Stefan Godecki**

14

**Wiersze  
Gitta Rutlege**

18, 35, 38

**Kobieca dusza**

**Eugenia Cieszyńska**

19

**Krótką podróż „Wazy”**

22

**Czasy się zmieniają**

**Bolesław Bieniasz**

24

**Flo – moja miłość**

**Stefan Godecki**

27

**Koty**

**Marek Kot**

33

**Nasze wspomnienia**

**Danuta Kapergren**

36

**Bez tytułu**

**Bolesław Bieniasz**

29

**Zsyłka emigranta**

**Bolesław Bieniasz**

41



Międzynarodowe Stowarzyszenie  
Polskich Dziennikarzy, Pisarzy i Artystów  
z Siedzibą w Malme  
**arena**

redakcjaarena@malme.eu

**www.malme.eu**

Redaktor naczelna  
**Halina Godecka**

Zespół redakcyjny  
Członkowie Stowarzyszenia

Opracowanie graficzne  
Tomasz Kowalski

© MSPDPiA, 2017

Materiałów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów i poprawek w publikowanych tekstach, a także do selekcji i uzupełnień materiału ilustracyjnego. Nadsyłane fotografie, rysunki itp. w skali 1:1 powinny mieć rozdzielczość minimum 300 dpi.



Bolesław Bieniasz

Belgia

## Wielkie Organy Barokowe

Fronton się srebrzy skrzydłami piszczałek

poniżej biegną tarasy **Klawiatur**  
rzędy **Rejestrów** – przekładnie **Traktury**

W szafie, przy **Dźwigniach**  
– nerwie mechaniki  
falują płuca – gigantyczne **Miechy**

o r g a n y – układ sprężonych połączeń  
– wieloplanowy zespół kombinacji

\*

Z trąbką przy ustach  
wzrokiem mierząc wieczność  
aniołowie natchnieni strzegą instrumentu

Światło z bezkresów – dar nadprzyrodzony  
zdobi im lica poblaskiem witraży

\*\*

W naw rozciągłości, w głębi perspektywy  
zadźwięczy f u g a na zadany temat

Myślą, emocją i ruchów precyzją  
– mistrz wyprowadzi ją z ciszy

*Orgelpunkt*, kadencja, konflikt manualów  
głosy się krzyżują, mnożą, nakładają  
współbrzmieniem mikstur, nut koloraturą  
stereofonią wibrujących tonów

\*

W polifonii rysunek, form architektura  
Linia murów oddycha zastygłą muzyką

*Subbas* brzmi fundamentem  
strop – śpiewu obłokiem  
sieć ukrytych powiązań  
dopełnia strukturę

\*

Wszystkie głosy w rzędach

rząd według rozmiarów  
według dyspozycji dźwiękowej hierarchii

4' 8' 16' trzydzieści dwie stopy  
*Gross Untersatz*, alikwot  
Pryncypał, *vox coelestis*

\*

Dech miechów się rozwidła w chór czterogłosowy  
kanałami wiatrownic ku piszczałkom bieży

Kwinta barwi oktawę, świerk – ołów i cynę  
wzbogacając rezonans akustycznej sfery

\*

Z organów w nawę, w zaułki pogłosu  
pod żebra łuków – zworniki sklepienia

ku chwale  
NAJWIĘKSZEGO z wszystkich budowniczych  
wzbija się hymnem

dźwiękowa katedra

lata 80.

© SABAM Belgium





## Spojrzenie wstecz

Folii hiszpańskiej melancholia  
fantasmagoria ciaccony  
patos rzeźb wzniosłych o błędącym wzroku  
pod stropem kopuł utkwionym

Zachwiał się Renesans, przerósł niepokojem  
w równowagę linii wdarła się obfitość  
rozrzutny ekscentryzm, zbytek romantyzmu  
Akord zdobył władzę  
i prosty recytatyw *senza battuta*

Przestrzeń domu Bożego  
liniami ścian strzelistych mknie ku światłu okien  
nisko doczesność, nieopodal niebo  
perspektywa posadzki kończy się ołtarzem

Symbol wszechświata  
zmysłów sublimacja  
wieczność pojęta na miarę rozumu  
wiarą dopełniona

W bocznej nawie  
gdzie pielgrzym samotności szuka  
wisi obraz, na ramie wryta przestroga  
*Memento mori*

Rozsnuty korowód dusz potępionych  
nieliczni wybrańcy w niebiańskiej ekstazie  
śmierć kosi  
diabeł smykiem do trańca nagania  
  
w dali wieś zielona

Malowidło czaszkę ma za towarzysza  
ozdobę nagrobka  
piszczel ją podpiera  
w klepsydrze ostatnich dni ziarnka  
*komm' süsser Tod*

Przy wejściu, twarzą do ołtarza  
pnie się wiszący ogród  
sztuki muzycznej ambona  
– wielkie organy barokowe



Bożena  
**Sroka**

Polska

## Mijanie

Pola dawno zaorane,  
szaro-bura ziemia,  
świat zbrzydł dookoła  
i co świt za mgłą się chowa.  
Z drzew zostały smutne  
szkielety, nagie i mizerne.  
Pożółkłe kępy traw  
gdzieniegdzie jeszcze błyszczą  
jak broszki do płaszcza przypięte.  
Zaorane pola równo ułożone  
bruzda przy bruzdzie,  
jak żołnierzy szeregi.  
Zbrzydły pejzaże,  
gdzie okiem sięgnąć  
niczego nie znajdziesz  
dla oka miłego.  
W przemijaniu.

## Bajka

Na skraju historii  
na brzegu wszechświata  
w zupełnie innej rzeczywistości  
snuje się bajka,  
opowieści wymyślone dla dzieci...  
Ciepłem otula ich rozmarzone oczy  
i mamy wiecznym szczęściem.  
W samym środku rzeczywistości,  
codziennosc na skraju urwiska,  
na brzegu przestworzy troska.  
Dzieje się mało bajkowa prawda,  
dla dorosłych ludzi bajka.  
Mrozi, po kościach zawiewa chłodem,  
zmusza do nierealnych marzeń,  
własny los oszukać każe  
i szczęśliwym zakończeniem mamy.  
Taka to bajka jest, nie bajka.

## Uliczny Klaun

W kawiarnianym ogródku  
piję kawę, słońce chłonę  
sama zajmuję się  
rozmową ze sobą.  
Nagle mój spokój błogi  
przerwał klaun kolorowy.  
Różę czerwoną mi dał.  
Z kieszeni ją wyjął chyba  
i odszedł. Tak szybko  
poszedł gdzieś dalej,  
że nie dostrzegłam  
czy róż miał więcej  
schowanych po sercem  
dla każdej takiej jak ja.  
Siedziałam zaskoczona mile  
przez jedną, jedyną chwilę...  
Bo klaun samotnie odszedł  
pewnie szukać miłości  
a jego twarz pokryły  
te farbowane i te słone łzy.  
I wbrew roli do zagrania,  
klaun zamiast uśmiechu  
z tą różą czerwienią błyszczącą  
zostawił mi gorzki posmak życia.

Nadal nie wiem jak i gdzie  
przepadł nasz czas  
ale echo spytać chcę.



# Ach ta telewizja!



Telewizja od dziesięcioleci wzbudza emocje dodatnie, ujemne, ale jest oglądana.

Czy jednak ktokolwiek wie, że zdecydowanie nasi rodacy przyczynili się do jej powstawania już w XIX wieku. Nie bo nas interesuje obecnie przekątna telewizora i jego dźwięk oraz spis funkcji dodanych.

W drugiej połowie XIX w. wielu naukowców na świecie pracowało nad technologią pozwalającą na przesyłanie na odległość ruchomego obrazu wraz z dźwiękiem. Polscy wynalazcy wnieśli duży wkład w te badania m.in. Jan Szczepanik swoim elektroskopem, czy Mieczysław Wolfke, który w 1898 (będąc jeszcze uczniem gimnazjum) opatentował

cały system telewizji bezprzewodowej, proponując wykorzystanie fal elektromagnetycznych jako nośnika sygnałów telewizyjnych, tarcz Nipkova jako urządzeń wybierających oraz rury Geislera jako źródła modulowanego światła przy syntezie obrazu.

Jan Szczepanik swój wynalazek zaprezentował wcześniej, bo w 1886 roku. W następnym roku opatentował go w Wielkiej Brytanii, a w 1898 złożył też wniosek o ochronę patentową w Stanach Zjednoczonych. Telekroskop transmitował obraz w barwach naturalnych wraz z dźwiękiem, rozkładając go w urządzeniu nadawczym za pomocą drgających luster, na punkty. Dalej punkty świetlne zamieniane były na impulsy elektryczne i przewodami telegraficznymi przesyłano je do odbiornika. Tam za pomocą zwierciadeł i pryzmatów impulsy elektryczne zamieniono ponownie na spójny kolorowy obraz.

O wynalazku Szczepanika pisał w 1898r. magazyn „The New York Times” w artykule pt. „Nowy teletroskop, maszyna Szczepanika”. Opisano w nim szczegóły „urządzenia, które przesyła obraz za pomocą linii telegraficznej” i przedstawiono „relację polskiego nauczyciela, jak działa jego teletroskop – schemat transmisji kolorowych promieni”. W piśmie cytowano też wypowiedź J. Szczepanika, który powiedział, że „elektroskop jest już kompletny pod każdym względem i jest gotowy

do pracy. Gdyby pewnego ranka włożyć do aparatu pierwszy egzemplarz wiedeńskiego dziennika, w ciągu kilku sekund, dosłownie zanim wyschnie farba drukarska, w Berlinie można by otrzymać fotograficznie obraz pierwszej strony tego czasopisma”. Kilka miesięcy później Mark Twain napisał artykuł o Szczepaniku dla magazynu „The Century Illustrated Magazine” Tekst był poświęcony całości dokonaniom konstrukcyjnym polskiego wynalazcy.

Poszukując zastosowania swojego wynalazku, Jan Szczepanik zaoferował go armii austriackiej. Ta jednak nie była nim zainteresowana. Polska była wówczas pod zaborami, a Szczepanik mieszkał i tworzył w Galicji, która była zaborem austriackim. Ten wynalazek nie doczekał się produkcji seryjnej ze względu na skomplikowaną konstrukcję i wysokie koszty budowy urządzenia. Zasada jego działania miała jednak wpływ na kolejne badania związane z telewizją.

Pierwsze nadawcze stacje telewizyjne uruchomiono w USA w 1928r., w Związku Radzieckim w 1931r., w Niemczech w 1935r, w Wielkiej Brytanii w 1936r. W Polsce pierwsza próba publicznego odbioru sygnałów telewizyjnych miała miejsce 5 października 1938r. Eksperymentalna stacja telewizyjna została zbudowana przez Państwowy Instytut Telekomunikacyjny. Antenę nadawczą stacji umieszczono na dachu Prudentiala (dziś hotel Warszawa na Pl. Powstańców Warszawy). Podczas pierwszej transmisji telewizyjnej pokazano krótki recital Mieczysława Fogga i film „Barbara Radziwiłówna”

I jeszcze warto wspomnieć o karierze pierwszej spikerki telewizji polskiej. Jej kariera potrwała zaledwie rok, a wszystko przez





jedno zdanie jakie wypowiedziała na antenie. Ale zaczniemy od początku. Wszystko zaczęło się od przypadku.

25 października 1952 roku pojawiła się na ekranach telewizorów. Maria Krzyżanowska była pierwszą spikerką, która zapowiedziała audycję na antenie Telewizji Polskiej. Pewnego dnia spotkał ją Juliusz Stefan Petry na ulicy dyrektor w ówczesnej telewizji i zaproponował pracę. Tak Maria Krzyżanowska zaczęła karierę telewizyjną.

Urodziła się 2 lutego 1930 roku w Łomży. Dwadzieścia lat później zaczęła rozwijać swoją karierę w Polskim Radiu, gdzie ukończyła kurs lektorski i idąc za ciosem, zapisała się także na studia dziennikarskie. Dykcji uczył ją przede Juliusz Stefan Petry, który pracował nad uruchomieniem polskiej telewizji, co później wpłynęło na karierę Marii.

– On tak jakoś zmierzył mnie od stóp do głów i mówi „wie pani co, pani będzie dobrą spikerką w telewizji! [...] Studio było bardzo małe, gdybym miała metr sześćdziesiąt, nie zostałabym spikerką – opowiadała w filmie dokumentalnym „TVP Story».

Pierwsza audycja telewizyjna z jej udziałem odbyła się 25 października 1952 roku. Był to program muzyczno – baletowy i trwał 30 minut. Udział wzięła nim nie tylko Maria, która w roli spikerki zapowiadała występy artystów, lecz także wokalistka Marta Nowosad, gitarzysta Jerzy Michotek oraz tancerz Witold Gruca. Wtedy zaczęła się kariera telewizyjna Marii Krzyżanowskiej, nie potrwała zbyt długo. Jedno zdanie przesądziło o karierze Marii. Szybko wróciła do pracy w radiu Maria Krzyżanowska pracowała w roli spikerki jedynie przez rok, a jej kariera zakończyła się za sprawą niefortunnej pomyłki na wizji. Jesienią odbywały się Miesiące Pogłębiania Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, podczas których Telewizja Polska emitowała różne audycje rozrywkowe. Jedną z nich poprowadziła Maria, która tego dnia przyprowadziła do pracy także swojego męża. Wygłaszając zapowiedź końcową, przejęczyła się, a wówczas wszyscy obecni w studio zamarli.

– Nie powiedziałaś „Miesiące Pogłębiania Przyjaźni Polsko-Radzieckiej”, tylko

„na zakończenie przyjaźni polsko-radzieckiej” – wytłumaczył jej mąż.

W filmie dokumentalnym „Historia telewizji” Maria przyznała, że więcej nie zaproszono jej już do współpracy. Wróciła do pracy w Polskim Radiu, gdzie kontynuowała karierę, realizując różne reportaże. Wraz z Krystyną Melion tropiła oszustów matrymonialnych, o czym w 1963 roku przygotowały reportaż „Dwie godziny, 40 minut i 15 sekund byłem z narzeczoną”. Maria przez lata mieszkała w Broku, a zmarła 21 listopada 1996 roku, mając 66 lat.

Dzisiaj mamy telewizję prywatną, telewizję państwową i ponad setkę telewizji kablowych. Niestety nie jest to równe nadawanie, bo nie wszyscy mają równomierne pokrycie w zasięgach na terenie kraju. Liderem jest TVP, TVN, Polsat, pozostałe stacje telewizyjne i telewizje kablowe. Czy to znaczy że wiemy więcej i lepiej? No nie, ale może kiedyś tak będzie.

**Ten artykuł byłby nie pełny, gdyby Tomek Kowalski nie zwrócił mi uwagi, że nic nie ma w nim o Ochorowiczu i Ochorowiczówce w Wiśle.**

Był zwany szalonym profesorem filozofii, twórcą wielu wynalazków. Dla Bolesława Prusa stał się inspiracją dla stworzenia postaci Ochockiego, nietuzinkowego fantasty z „Lalki”.

Ten niesłychany umysł swojej epoki ciekawą osobowość łączył z bardzo rozległymi zainteresowaniami. Wszystko łączył w spójnym systemie. Zaczynał od studiów na wydziale pedagogiczno-historycznym. Potem skończył fizykę i matematykę. Doktorat zrobił z filozofii i psychologii. Studował w Warszawie, Lipsku, przez dziesięć lat mieszkał w Paryżu, by potem wrócić do Warszawy, a na koniec osiąść w Wiśle.

Rozrzut jego zainteresowań był jak na



standardy pozytywistycznej nauki niesłychanych. Z jednej strony zajmował się fizyką eksperymentalną, był twórcą przeróżnych wynalazków z dziedziny elektroakustyki. Z drugiej strony był filozofem z kręgu filozofii pozytywistycznej, stworzył podstawy naukowe pozytywizmu w Polsce. Badał też tajemnice ludzkiej psychiki.

Napisał rozprawę pod tytułem: „O możliwości zbudowania przyrządu do przesyłania obrazów na dowolną odległość”, dzięki której jest uważany za jednego z prekursorów telewizji.

Urodzony w Radzyminie 28 II 1850 w rodzinie nauczycielskiej osiadł tam w związku z zaangażowaniem ojca Juliana w działalność przeniesionego 1845 z Łowicza. Szkoły dla Nauczycieli Szkół Elementarnych (szkoły, której kontynuatorem jest dziś LO im. Cypriana Kamila Norwida).

Zajmował się także eksperymentami fizycznymi w dziedzinie elektryczności i elektromagnetyzmu. Nieustannie publikował artykuły w czasopismach, działał w życiu



polemiki w prasie i głosy sprzeciwu.

Ten wybitny naukowiec i wynalazca, w 1899 roku, po rozwodzie z żoną Marią przybył do Wisły. Rozpoczął wówczas budowę domków letniskowych. Ich wynajem lub sprzedaż miały dać mu środki na kolejne badania przede wszystkim w zakresie psychologii. W ten sposób powstała „Zofiówka”, „Sokół”, „Maja” czy też „Placówka” nazwana tak na cześć przyjaciela Ochorowicza, Bolesława Prusa. W tym czasie wybudowana została też „Wanda”, willa, którą Julian Ochorowicz подарował swojej siostrze ciotecznej, znanej aktorce warszawskiej Wandzie Barszczewskiej.

Spośród wszystkich obiektów wybudowanych przez Juliana Ochorowicza w Wiśle pozostała do dziś jedynie „Ochorowiczówka”, z której wy-

prowadził się w 1912 roku pozostawiając wszystkie meble, książki i urządzenia badawcze. Podobno kartki z książek naukowych służyły długi czas okolicznym pastuszkom jako podpałka do rozpalania ognisk. W liście do Jana Wantuły w 1913 roku napisał, że Wisła mu zbrzydła. Wtedy

też kupił ziemię pod Warszawą i wybudował tam swój nowy dom.

Późniejsze losy „Ochorowiczówki” były bardzo różne. Po II wojnie światowej obiekt przejęło miasto, urządzając tam mieszkania komunalne. Budynek popadał w coraz większą ruinę. W 2014 roku na poddaszu domu wybuchł pożar.

Rok później pojawił się pomysł stworzenia w tym miejscu największego w Europie Muzeum Magicznego Realizmu. Rozpoczął się remont, dzięki któremu odtworzona została zasadnicza część obiektu, ale powstała także dobudówka. 1 maja 2017 roku, w dniu setnej rocznicy śmierci Juliana Ochorowicza, odbyło się oficjalne otwarcie muzeum. Znajduje się w nim ponad 300 prac ze zbiorów prywatnych. Jest to malarstwo i rzeźby Zdzisława Beksińskiego, Rafała Olbińskiego, Tomasza Sętowskiego, Jarosława Jaśnikowskiego, Jakuba Różalskiego, Marcina Kołpanowicza, Jacka Szyrakczyka czy Artura Kolby. Wartość rynkowa dzieł jest szacowana na ok. 10 mln zł. Warto tam być i zrozumieć nie tylko magiczny realizm, ale i wkład Ochorowicza w rozwój telewizji.

*Opracowanie Halina Godecka*

Wybrane ważniejsze publikacje :

*Wstęp i pogląd ogólny na filozofię pozytywną* (1872); *O twórczości poetyckiej ze stanowiska psychologii* (1877); *Wiedza tajemna w Egipcie* (1898); *Zjawiska mediumiczne* (t. 1-5, 1913-1914); *Psychologia i medycyna* (t. 1-2, 1916-1917). (*Polskie Radio Historia*)

*Nauka w Polsce Tomasz Szczerbicki Tygodnik*

umysłowym i politycznym Lwowa, pełnił m.in. funkcję wiceprezesa Koła Literackiego. Rozczarowany Uniwersytetem Lwowskim, który nie nadał mu profesury, w 1882 r. wyjechał do Paryża. Ponieważ Polska Akademia Umiejętności w Krakowie nie przyznała mu stypendium naukowego, musiał w Francji zarabkować. **Opatentował wtedy trzy wynalazki nowych typów aparatów telefonicznych.** Otrzymał za nie złote medale na wystawach w Paryżu, Antwerpii, Petersburgu i Warszawie, w ślad za tym napłynęły znaczne pieniądze.

W 1892 r. Ochorowicz wrócił na stałe do kraju i osiadł w Warszawie. Zajął się wtedy modnym w Europie spirytyzmem. Podczas pobytu we Włoszech Ochorowicz wraz ze swym przyjacielem, znanym malarzem Henrykiem Siemiradzkim, przeprowadzał eksperymenty ze słynnym medium, Eusapią Paladino. Stwierdził związek medium z hipnotyzmem i magnetyzmem, odrzucił natomiast wersję o działaniu sił nadprzyrodzonych. Jego badania wywoływały gorące







Bożena  
**Sroka**

Polska

## Zapach wiosny

Otwieram okno, to wystarczy.  
Pachnie bzowo,  
lawendowo, dookoła.  
Konwaliami wiatr zawiewa  
i frezjami jeszcze, dookoła.  
Zieleni tyle we wszystkich odcieniach  
nad głowami, pod stopami,  
doprawionej niezapominajkami.  
Na drzewach, między gałęziami  
śpiewanie, miłosne gruchanie,  
wyznania ptasie trele morele.  
Coraz częściej błękit w górze  
miesza się z twoich oczu błękitem.  
A jeśli ciepły deszcz już podać ma,  
to pachnie tak jak ty  
bzowo, lawendowo,  
i jeszcze jak lody miętowo, czekoladowo.  
Wiosna w końcu dniom godzin  
dodała, w głowach ludziom zawróciła,  
zapachami omamiła, oczarowała  
i uśmiechów więcej po drodze i dookoła.  
Wiosna na ławkach się rozsiadła i jest.  
Dookoła.

## Rosyjska ruletka

Setki myśli w głowie pędzi,  
na głos wypowiedziane  
obietnice i kłamstwa.  
Stare wyobrażenia,  
marzenie zupełnie nowe.  
Nie, nie sny...  
Życie jest huśtawką,  
grą w chowanego,  
rosyjską ruletką,  
szansą tylko jedną.  
Naukowo potwierdzoną  
niewiadomą, co spełni się,  
co na zawsze przepadnie.  
Codziennie brawurowo  
ryzykujesz udział w tej grze.



# Osiemnasty list do Szolema Alejchema



Bolesław Bieniasz

Belgia

## Mój niezapomniany Przyjacielu,

wiadomo nie od dzisiaj, że – nawet w korespondencji – przerwy bywają dłuższe lub krótsze, podobnie jak w kuracjach i podróżkach. Nie przypuszczałem jednak, że i to będzie mnie kiedyś dotyczyć. Skądinąd, czy – nie nadużywając sensu słów i pojęć – możnaby powiedzieć, że niespolegliwość jest jedną z ułomności natury ludzkiej? Cóż za ryzykowne pytanie! Wolę nie dociśkać śruby, gdyż w rachubach łatwo jest się pomylić. Bądź tak dobry i zapomnij o tym wszystkim. Zamiast kręcić jak szewc kopytem, poszukajmy powodu realnej słabości lub tylko zbiegu okoliczności prowadzących do pochopnych wniosków.

Powiedzmy, że ktoś był zajęty i rzadko pisywał do bliskiego przyjaciela, który pozostając bez odpowiedzi od wielu znajomych podupał na duchu i sam przestał odpowiadać. Czy było to oznaką słabości obydwóch, czy tylko złą oceną sytuacji? Wydaje mi się, że pragnąc rozwiązać ten problem mimowolnie uwikłałem się w coś.

Pomyślmy trzeźwo. Powodów może być wiele. Wskutek szoku spowodowanego pewnym faktem, którego byłem świadkiem, zaniedbałem bardzo ważną sprawę. Zdarzenie miało miejsce w samym środku lata, podczas wakacji spędzanych na wsi w domku jednego z moich kuzynów. Po usłyszeniu stukania do drzwi wyszedłem na ulicę. Pukał oczekiwany dostawca drewna na podpałkę. Jeden z sąsiadów stojący obok,

widząc drewno, a obok dostawcę, zresztą po raz pierwszy w życiu – i jak się okazało licząc ułamki sekundy – krzyknął do niego – Przestań-że się ruszać i uderzył go nagle w wyłysiałą głowę. Na domiar złego strącił dostawcy haftowaną krymkę, co ten ostatni odebrał jako kolejną obelgę, nawet nie przypuszczając, że jest poszkodowanym i „ocalonym” jednocześnie. Przyczyną zajścia był komar siedzący mu nad czołem, a wówczas wiele mówiono o pladze malarii. Dobry uczynek w najlepszej intencji może doprowadzić do nieobliczalnych skutków. Przy próbie dyskusji drwal-dostawca udawał głuchego i niemego, odganiając każde słowo jak natrętną muchę. Wiesz dobrze, że inaczej rozmawia się z drwalem, inaczej z popem, a jeszcze inaczej z kowalem. Na szczęście nie doszło do procesu, jedynie adwokaci obłowili się nieźle, a ja, by załagodzić niemąły incydent, zaprosiłem ich obu na łyk zeszłorocznej śliwownicy. Tę dziesięcioletnią zostawiłem na lepszą okazję.

Napisałem Ci powyżej, że zaniedbałem pewną sprawę, nie mówiąc już o tak dobrze rozpoczętej korespondencji z Tobą. Postaram się jakoś odkręcić zaniedbany geszef.

Dziś trudno mi powiedzieć o czym Ci pisałem w ostatnim liście i w przedostatnim. Po przerwie w wymianie listów zaczynam wyraźnie gubić się w detalach. Potrzeba mi krótkiej chwili odpoczynku, by odnaleźć pamięć i – jako tako – dogonić umykający czas. We flaszcze, jak mi się wydaje, zostało jeszcze co nieco na spodzie.

Chodzisz sobie po rajku przeskakując

strumienie, jedząc figi, borówki, daktyle i nie myślisz zbyt często o ziemskim padole czyli o zsyłce czy też, jak mówią niektórzy, o warsztacie szlifowania duszy. Masz to już za sobą. W tej konkretnej materii wolę się zbyttnio nie wypowiadać. Nikt mi niczego nie zarzuci. A poza tym... Nic takiego. Teraz napiszę Ci krótko w jakim to sosie pływam.

Różne są źródła wiedzy. Pewien prawnik powiedział mi, że jedynym sposobem osiągnięcia właściwego wniosku jest dyskusja kontradiktoryjna. Z praktyki życiowej dowiedziałem się, że – w pojęciu niektórych osób – droga do zrozumienia niejednego problemu prowadzi poprzez sprzeczki i wchodzenie komuś w słowo. Nabyłem doświadczenia. Dzięki obserwacji odkryłem też, że zachowanie się indywidualów niespolegliwych, tych z dołów życia towarzyskiego, może zakończyć się dla nas niecodzienną satysfakcją.

Posiadałem egzemplarz Dziejów Tewji mleczarza z pięknymi ilustracjami wykonanymi przez słynnego rysownika z Petersburga. Za nic nie wymienię jego nazwiska, by nie posądzono mnie o faworyzowanie jednych i przemilczanie drugich. Wyleci ptakiem, a wróci wolę, wbijano mi w głowę. Pamiętam, że – w porównaniu z innymi publikacjami – cena tej książki była znacznie wygórowana. W księgarni, wahając się co najmniej przez dwadzieścia minut, pomyślałem sobie – nie jestem bogaty, nie stać mnie na kupno byle taniocy, gdyż – i to mi



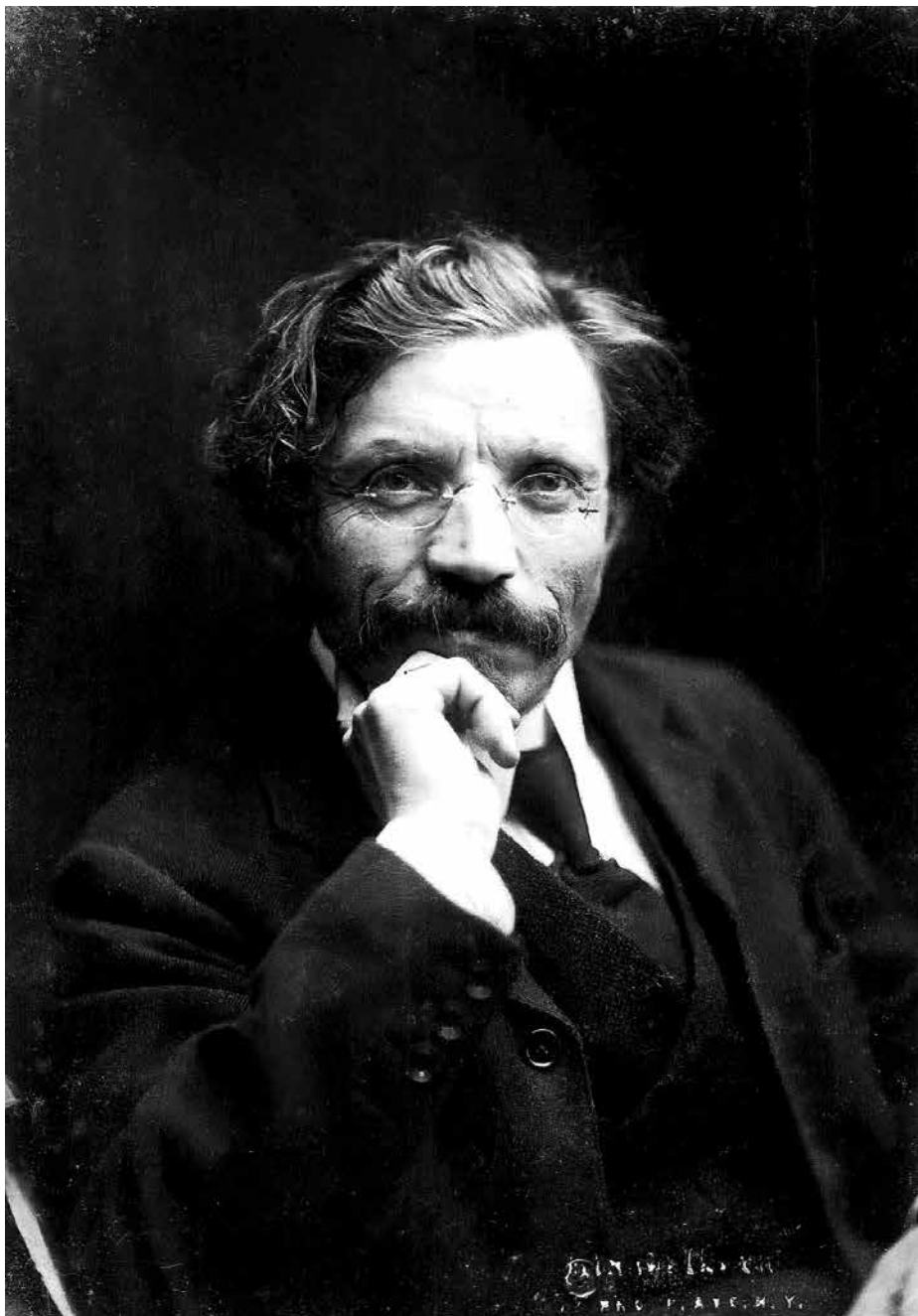
wpajano – co drogie, to tanie. Bądź tak dobry i napisz mi przy okazji czy mleczarz to milchiker, czy milchiger. Sprawa nie jest pilna lecz warta zachodu.

Jakiś czas później ktoś prosił mnie o pożyczanie mu tej książki i, z życzliwości lub z głupoty (raczej z tej drugiej), nie odmówiłem. Nigdy mi jej nie oddał. W podobnych przypadkach zwykle zrzuca się winę na niespolegliwość tragarzy podczas przeprowadzki. Wydanie okazało się wyczerpane. Szukałem Tewjego w antykwariatach, na aukcjach, nawet na pchlim targu. Oczywiście z tymi samymi ilustracjami. Dopisała mi szansa i w końcu nabyłem ją nie wiedząc, że odzyskuję mój własny „zagubiony” egzemplarz. Nawet nie zniszczony. Pewnie ten ktoś jej nie przeczytał. Szczęście okazało się podwójne. Przed pożyczeniem książki (czego już więcej nie zrobię), jako zakładki użyłem złożonej kartki z notatkami, o czym zapomniałem. Ją też odzyskałem. Jaki przed wielu laty byłem romantyczny. Pośród tych zapisków znajdował się krótki tekst, którym pragnę podzielić się z Tobą. Oto on :

«W dzieciństwie często patrzyłem przez okno na przepływające obłoki. Latem – w perspektywę pól. Marzyłem o czymś nieokreślonym, jakby zarysowanym w od dali, starając się zbliżyć do niego. To „coś” – wyczuwalne, zarazem niezdeteminowane, przyciągało mnie ku sobie. Obecnie, spoglądając w swą wewnętrzną perspektywę, w echu nastroju niegdyś przeżytego, tak trudnego do uchwycenia, czytam jak w odnalezionym pamiętniku. Wówczas ukazuje mi się jakby mglisty promień o zbliżonym klimacie ».

Na tym nie koniec. Na odwrocie kartki skreśliłem inne wyznanie, też nieoznaczone datą. Sądząc po jego treści można by wyczuć, że pochodzi z okresu o wiele późniejszego :

«Idąc ulicą spojrzałem na niebo. Po kilku dniach deszczu i szarości, nietypowej dla pory zimowej, nagle ukazał się błękit ze smugami jasnych obłoków, zmieszanych z szarymi. Tchnęło przedwiośniem. Każdego roku ten pierwszy błysk jaśniejszego



światła wprost mnie zdumiewa, podobnie jak smętna, nieodwracalna bladeść schyłku jesieni».

Czy te wspomnienia, choć szczere i autentycznie przeżyte, nie są zbyt sentymentalne? Czy tak, czy nie, musiałem mimo wszystko zainspirować się Twym opisem okolic Kasrylewiki. Odnośnie doznań splecionych z wyobraźnią, para lwów na parochecie jest pamiątką wizji zrodzonej z kłębow dymu, w których – niczym w nastroju wewnętrznej perspektywy – można było ją dostrzec. Ta zdumiewająca gra tworzących

się kształtów miała miejsce tysiące lat temu. Wiemy o niej jedynie z relacji świadków. To, co rozproszone – myślę o kłębach dymu – również istnieje. Jest więc czymś wyraźnym, konkretnym.

Niebawem znowu napiszę do Ciebie. Bądź mi zdrów

*Twój nieustanny czytelnik*

Styczeń 2023

© SABAM Belgium

# SI

Stefan

## Godecki

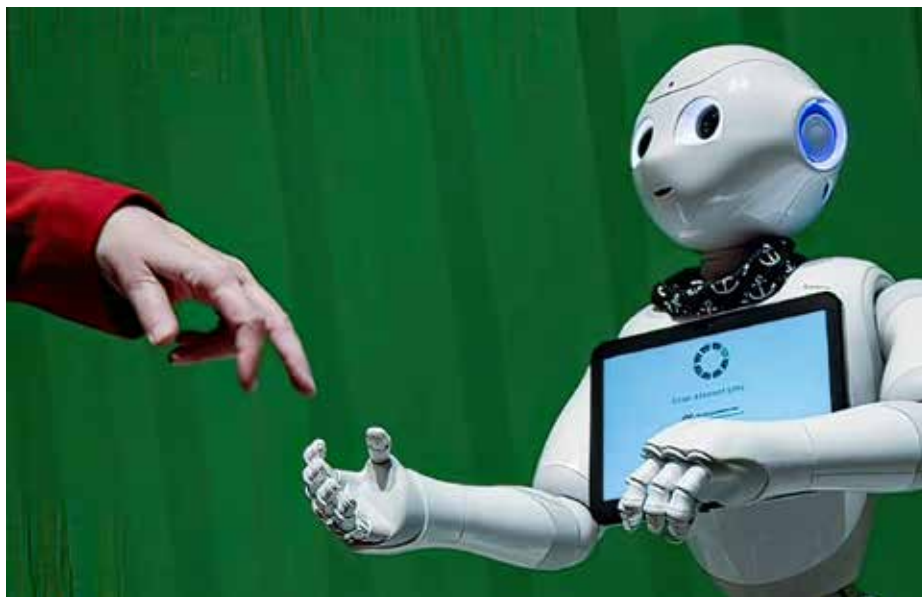
Niemcy

**W Niemczech nazywają ją KI, w Anglii AI, a w Polsce SI, a w sumie oznacza to, to samo. Za tymi skrótami kryje się coś, co jeszcze przed kilkoma laty było dla przeciętnego przechodnia zapytanego na ulicy, bardziej opowieścią o odległych gwiazdozbiorach lub najnowszym filmie rodem z Hollywood, niż o codziennym towarzysz naszego szarego dnia.**

Zanim do tego doszło, minęło trochę czasu bo pierwszy raz to określenie zostało wypowiedziane i opisane na tzw. „Warsztatach w Dartmouth“ w 1956 roku. W moim wypadku, to całe moje życie, które dopiero teraz z dnia na dzień coraz częściej odczuwa prawdziwe znaczenie tych liter. Dotychczas ja też myślałem, że inteligencja może być wrodzona lub nabyta, ale nie sztuczna. Sztuczne może być serce albo proteza nogi ale nie inteligencja.

### **Czy ktoś ją już kiedyś widział???**

Ja nie widziałem, ale dosyć często słyszałem, co dawało mi poczucie, że mam do czynienia z inteligencją wrodzoną, nabytą lub żadną. Nie mogę też powiedzieć, że czekałem całe życie aby się nareszcie dowiedzieć gdzie ta SI jest i co może dobrego zrobić w moim wypadku. Kiedy zacząłem się nią bardziej interesować, okazało się, że czas spędzony w podstawówce i liceum lepiej byłoby zamienić na



kilka kursów programowania systemów komputerowych i kilka godzin jeszcze dodatkowo wiedzy o algorytmach. Tych strat już nie nadrobię i jestem zmuszony z moją niewiedzą akceptować coś czego nie rozumiem mimo, że mam się za obywatela inteligentnego.

Od teraz, to nie my sami będziemy określać, kto jest inteligentny, a kto nie i to jest fakt, który dla następnych pokoleń będzie coraz większym problemem. Podobnie jak maszyna parowa, sztuczna inteligencja rewolucjonizuje nasze życie. Jedni są zachwyceni a inni pogrążeni w smutku. A przecież miała to być rewolucja techniczna 4.0 zastępująca ludzką pracę, przynosząc pokój i dobrobyt?.

Jak długo opowiadano o zastosowaniu w Chinach, różnych urzędach do kontroli i sterowania pewnymi systemami i ludźmi, mało mnie to interesowało, bo Chiny i tak są daleko. Dopiero jak pierwszy raz w czasie „Ptasiej grypy“ na lotnisku w Tokyo odczułem to na własnej skórze zauważyłem, że zamiast czytać literaturę

piękną, lepiej byłoby ten czas wykorzystać właśnie na algorytmy. Do Tokyo przylatują z całego świata samoloty z minutową częstotliwością. Chcąc wyszukać z tego tłumu, ludzi o podwyższonej temperaturze, ustawione były setki kamer termowizyjnych, które otwierały lub zamykały odpowiednie bramki i sterowały do wyjścia lub na kwarantannę. Nie było tam ani jednej osoby z obsługi, którą można było zapytać o co tu chodzi? I co się będzie działo jeżeli zostaniemy skierowani na lewo lub prawo?. W wypadku skierowania na prawo, pobyt w Japonii nie oznaczał nic przyjemnego. Nie tylko dlatego, że nasze zdjęcie znalazło się we wszystkich komputerach, które selekcjonowały ludzi na chorych i zdrowych, ale także we wszystkich „kartotekach“, które w razie potrzeby można odszukać i szybko wyeliminować z „tłumu“.

Było to przed wieloma laty i wtedy udało mi się, zostałem skierowany na lewo, co pewnie i tak nie uchroniło mnie od tego zdjęcia, które gdzieś tam utkwilo w jakimś



komputerze, ale pokazało mi dokładnie, że z tymi maszynami nie „pogadasz“.

Historia ta przypomina mi się bardzo często kiedy jadę samochodem przez Szwajcarię. Jest to kraj gdzie kamery nie tylko są, ale poruszają się też cały czas w różnych kierunkach co stwarza wrażenie, że nie tylko obserwują ruch i starają się go optymalnie dostosować do sytuacji, ale że obserwują mnie podając dalej mój wizerunek, z kamery do kamery, określając w mgnieniu oka moją prędkość średnią, zużycie benzyny, czas na postoju na sikanie, co kupiłem w sklepie i pewnie jeszcze tysiące innych rzeczy.

Cieszę się gdy po kilku godzinach wjeżdżam do Włoch, bo tam też są kamery, ale można być pewni, że nie działają, a przede wszystkim nie sprawiają tego wrażenia, że mogą to samo co te w Szwajcarii. Sam pomysł instalacji tych kamer może nie jest taki zły, ale jak pomyślę, że zanim wrócę do domu czekają tam na mnie setki mandatów bo przekroczyłem prędkość raz o 0,4 km, a na innym zjeździe o 0,8 km, to włosy mi stają na głowie i powoli chcę zostać w domu za wysokim murem gdzie żadna kamera, nawet ta termiczna nie będzie mnie obserwować.

Dochodzi jednak do paradoksów, których nikt się nie spodziewał. Jeden ze znany niemiecki raper zapragnął wykonywać utwór napisany przez komputery, które w swoim „spisie treści“ miały zakodowane prawie wszystkie utwory z całego świata. Miał to być utwór w stylu tego repera z odpowiednim bitem i rytmem. Po bardzo, krótkim czasie komputer, a bardziej jego system algorytmów, wypuścił optymalny utwór, który był lepszy od wszystkich dotychczasowych. Przerazenie było ogromne, bo okazało się, że każdy może mieć takie pragnienie i wtedy tego znanego repera wysłał na zasłużoną emeryturę. Przez pewien czas pracowałem dla firmy, która produkowała nawozy do produkcji rolnej. Dozowanie tych nawozów na polach odbywało się dzięki przystosowanym do tego traktorom, które były sterowane przez sputniki, w zależności od koloru zboża, jego gęstości i wielkości z odpowiednich dysz traktora wydobywało się więcej lub mniej nawozu. Wiadomości



do satelity były przekazywane przez kamery zainstalowane na traktorach, a te w mgnieniu oka przekazywały informacje do center obliczeniowych i informacja w kilka sekund wracała do traktora. Mojej fascynacji nie było końca.

Trochę było mi szkoda rapera, ale cieszyłem się, że rolnik nie musiał się martwić czy zboże rośnie czy nie, bo jest „ktoś“ kto czuwa nad tym procesem.

Dzisiaj widziałem w telewizji rzeźnika, który stoi z laptopem w ręku przed rzędem kielbas podłączonych do różnych przewodów doprowadzających optymalną wilgotność, powietrze i temperaturę w zależności od dojrzałości każdej

kielbasy indywidualnie. Wcześniej zatrudniał w tym celu mistrzów masarskich, którzy z wieloletnim doświadczeniem wiedzieli kiedy doprowadzić do pomieszczenia więcej lub mniej wilgotności lub ciepła. Oznacza to, że w przyszłości zniknie wiele zawodów, które cieszyły się naszym szacunkiem przez tyle lat. Zniknie też pewnie wkrótce wiele tytułów, bo kto potrzebuje doktoranta, który 3 lata w najlepszym wypadku, naukowo opracowuje temat, na który SI potrzebuje w najgorszym wypadku kilka godzin. Z drugiej strony tylko za pomocą tych wszystkich możliwości, która posiada SI udało się stworzyć w tak krótkim czasie



szczepionkę, przeciwko Covidowi. Tysiące testów, które były latami wykonywane w celu dopuszczenia jakiejś szczepionki do obrotu w tym wypadku odbyły się na monitorach, przerabiając w bardzo krótkim czasie wszystkie możliwe przypadki. To uratowało życie tysięcy ludzi.

#### **Dlaczego tym tematem zajmuje się właśnie teraz ?**

Boję się, że w wkrótce rozpocznie się chaos, który doprowadzi do przewartościowania tego co dobrze znamy i akceptujemy od stuleci.

Bardzo wiele zawodów i umiejętności zaginie aby utworzyły się nowe, które

jeszcze nie powstały. Wydaje mi się, że wiedza i umiejętności tracą swoją wartość a zyskają schematy i systemy, które raz wprowadzone do tego układu będą jedynie ulepszone, ale być może kiedyś będą się ulepszały same, bez naszej pomocy. Czy te wszystkie „ulepszenia“ będą zawsze po naszej myśli ?

Do czasu kiedy to jeszcze my mamy władzę nad „liczbami“ może tak być, ale jeżeli ją stracimy to co wtedy? Stare reguły i wartości powoli zatracają się a nowe normy jeszcze nie powstały.

Jak i kto określi wartość tego co SI stworzyła i jak powstaną „ramy“ dla SI ? Niepokojące zaczyna być to zjawisko

gdy powoli, ale z dużą skutecznością SI zakrada się do artystycznych i kreatywnych zawodów.

Mój znajomy malarz często powtarzał, że „obraz rodzi obraz“ odnosząc to do własnej twórczości. Obraz, który go zaintrygował, inspirował i owocował w postaci nowego obrazu.

#### **Czy jest to jeszcze aktualne, czy o nowych dziełach stanowi przypadek ?**

Czytałem ostatnio o aplikacji, która umożliwia „malowanie „ słowami. Wystarczy wypowiedzieć kilka haseł a SI przekształci to w obrazy, tzn., że każdy może teraz „wymalować“ swój obraz.

#### **Czy malarz będzie nam jeszcze potrzebny?**

Ci wszyscy, którzy zaczynają studia na akademii sztuk pięknych, po jej skończeniu mogą mieć duże problemy by sztukę klasyczną zaproponować komukolwiek do kupna.

Żeby przekonać się, że to co pisze, to nie tylko „opowieść o pietruszce do niczego“ wybrałem się na wystawę „Machine Hallucinations“ Refika Anadola, która można było zobaczyć w jednym z najstarszych muzeum sztuki Düsseldorfu w Kunstpalast.

Nazwiska Refika Anadola nie znałem, bo też nie mogłem sobie wyobrazić, że ja wychowany na malarstwie klasycznym, rzeźbie greckiej i stylu mokrym Fidiasza, zainteresuje się formami i rzeźbami powstającymi z tysięcy informacji i kodów. Mimo, że abstrakcja to mój ulubiony temat, ale to wykraczało poza moje ramy i granicę wyobraźni.

#### **Gdy ja nie interesowałem się Refikiem, on w tym czasie zawojował świat, zdobył wiele nagród i dziś jest wykładowcą na wydziale Design Media Art w Kalifornii.**

Refik nie potrzebował wykształcenia malarzkiego, graficznego i historii sztuki. Początkowo zajął się fotografią, która to pasja przekształciła się na uniwersytecie w Istambule w sztukę video. Gdyby nie to, że techniczne możliwości rozwijały się tak szybko, nikt nigdy o Refiku by nie usłyszał. Sam o sobie mówi, że nie jest artystą



i wizjonerem, ale poszukiwaczem efektów składających się z milionów pixeli. Jest to specyficzna gra między nauką, techniką i sztuką w zupełnie nowym otwarciu. Jego obrazy, lub rzeźby digitalne, bo trudno określić te obiekty jednoznacznie, są monumentalne. Początkowo do swojej „twórczości“ używał architekturę jako ekran. Najbardziej znanym projektem jest projekcja na budynku Walt Disney Concert Hall w LA.

Budynek został zaprojektowany przez Franka Gehry. Od dawna jest już ikoną architektury amerykańskiej i dzięki swojej aluminiowej fasadzie, której nieregularne kształty sprawiają wrażenie fal, jest idealną powierzchnią na wszelkiego rodzaju projekcję.

Projekt „Dream“ był też prezentacją we wnętrzu Centrum. Do projekcji na powierzchni aluminiowej fasady, użyto 42 projektory dużej o skali, był to w tym czasie największy projekt jaki na świecie zrealizowano. Do obsługi tego eventu powstało na zapleczu małe miasteczko komputerowe, które zużywało tyle prądu co małe miasteczko.

To były wiadomości, które dały mi pierwszy obraz o „świecie „Refika.

Tak przygotowany udałem się do Düsseldorfu z dużymi oczekiwaniami, ale jeszcze bez własnego zdania na temat tej „twórczości“ Były to ostatnie dni tej wystawy, ale na koniec przyszli pewnie tylko smakosze, albo ci, którzy oglądali ją kolejny raz.

### **Tłoku nie było.**

Pierwszy obiekt, przed którym stanąłem jako jedyny w tej Sali, w której rozpocząłem zwiedzanie tej wystawy był tak duży jak nasza „Bitwa pod Grunwaldem“. Miałem też podobne wrażenie, bo w obu wypadkach nie bardzo wiedziałem gdzie mam patrzeć. W „Bitwie“ są dwie centralne postaci, a reszta to dodatek. U Refika były to, trzy duże monitory, na których wszystko jest w ruchu a więc nie jest to, jeden obraz a tysiące obrazów, które tak prawdę mówiąc „oko nie potrafi przerobić“. Technika wyprzedza nasze „ludzkie“ możliwości. U Matejki mimo, że się wydaje, że scena jest bardzo

dynamiczna i wszyscy są w ruchu, to jednak jest to „zatrzymanie w kadrze“ momentu, w którym możemy bez pośpiechu przyjrzeć się każdej postaci z osobna. Jest to Krzyżak czy Litwin a może Polak bo obraz przedstawia niewiarygodny chaos i Matejko jest wielkim mistrzem, że udało mu się to wszystko jakoś posortować. Studiując ten obraz dłużej doszlibyśmy pewnie do wniosku, że to co namalował na tych kilku metrach kwadratowych w rzeczywistości nie jest możliwe. bo potrzebowałby w tym celu 200 metrową perspektywę.

W zasadzie wszystkie obiekty na tej wystawie są tak duże jak trzy albo cztery „Bitwy pod Grunwaldem“, raz w poprzek, raz na wysokość, ale jakieś bardziej przyjazne, bez śmiertelnie wystraszonych twarzy i nienawiści w oczach Krzyków zwycięstwa i upadku, który zapowiada szybką śmierć. Z perspektywy czasu, zdałem sobie sprawę, że chyba tego obrazu Matejki już nie lubię.

Z wiekiem zupełnie inaczej zapatruje się na te brutalne sceny, zwycięstwa i klęski. W obrazach szukam spokoju.

W obiektach Refika jest harmonia, kolory przechodzą jeden w drugi, zwijają się i rozwijają, jak skóra Kameleona, nie można tam zobaczyć czegoś konkretnego, ale jest to świat spokoju i jest stworzony tylko do podziwiania. Zastanawiałem się jak ten „świat“ powstał, bo nie był to ani film, ani animacja ani video ?

Przed wejściem na wystawę była tablica informacyjną, z której kilka zdań wyjaśnienia postaram się przetłumaczyć.

„Satelitarna Symulacja“, bo taki jest tytuł jednego z obiektów, to wizualna spekulacja o historycznych próbach poznania Universum. W tym obiekcie Refik przedstawia fotograficzną historię podboju kosmosu, zainspirowana przez współpracę z NASA Jet Propulsion Laboratory. Na stworzenie struktury tego dzieła zanalizowano i wykorzystano 2 miliony zdjęć, które zostały wykonane przez teleskopy stacji ISS oraz z Obserwatorium MRO, które to zdjęcia zgrały się ze sobą. Refia opracował te zdjęcia z bardzo różnymi GAN – Algorytmami. Jako GAN, określa się „Maszynowy – Model nauczania,

który samodzielnie potrafi generować nowe daty, ponieważ dwa neuronale Netzwerke konkurują między sobą i mogą się jeden od drugiego uczyć“.

Nie wiem kto to wszystko zrozumiał, ale to nie jest takie ważne jak efekt, który z tej pracy powstał.

Ciekawe jest zachowanie zwiedzających. Dzięki temu, że pomieszczenia są przyciemnione, panuje tam specyficzna atmosfera. Obiekty Refika najlepiej jest podziwiać z pewnego dystansu. Nikt nie przeciska się przed obserwujących, kilka osób siedzi na podłodze w oczekiwaniu na ciągle zmieniające się „obrazy“ inne leżą na specjalnie przygotowanych materacach. Na tej wystawie zwiedzający potrzebują więcej czasu na zapoznanie się z każdym elementem niż to jest na klasycznej wystawie malarstwa lub rzeźby. Zauważyłem, że prawie wszyscy, którzy tam byli, widzieli tego rodzaju sztukę pierwszy raz.

### **Nie wszystkie recenzje, które przeczytałem zanim pojechałem tam były pozytywne.**

Przypominało mi to trochę sytuację impresjonistów przed pierwszą wystawą w Paryżu, gdzie ich dzieła zostały wyklęte zanim je ktokolwiek zobaczył. Dzisiaj pełne podziwu, zajmują czołowe miejsce w każdym muzeum. Czy to stanie się też z obrazami Refika.

Piszę celowo „obrazami“ bo powoli przyzwyczajam się do tej myśli, że jest to nieunikniony rozwój i w tym wypadku powoli, ale z całym zachwytem jestem z Refikiem.

Oglądając tę wystawę zapomina się o realnym świecie. Obrazy są tak „smaczne“ jak najlepsze lody z lodziarni Santa Trinita we Florencji. Ich 3 dymensjonalne przedstawienie pomimo, że są jedynie projekcją na płaskiej ścianie jest genialne. Chciałoby się aby to były „krajobrazy“ i miejsca, które można odwiedzić. Cicha muzyka, która towarzyszy tym obrazom dopełnia całości.

Mimo, że początkowo nie bardzo wiedziałem, co tą sztuką może zmienić w moich poglądach, to muszę przyznać, że od dzisiaj jestem jej fanem. Jestem

też przekonany, że Refik rozpoczął coś co będzie się lawinowo rozwijać. Oglądając film, w którym tłumaczy swoje pasję i idee na przyszłość a ja je powoli zrozumiałem, że świat digitalnych dat, to jest swoiste Universum. Refik mówi o nim jak o wielkiej bibliotece, w której każdy z tematów jest osobną Galaktyką a te Galaktyki mają jeszcze swoje słońca i planety łącznie z czarnymi dziurami. Każdego dnia rozwija się ona dalej wprowadzając miliardy nowych zdjęć i dat do swojej biblioteki. Jestem pewny, że w różnych „dziełach“ w przyszłości jedną z ich części będą zdjęcia nas samych, generowanych do kolorowych kulek jak u Refika dzisiaj.

Ta nowa sztuka zaciera granicę między rzeczywistością a wyobrażeniami, między przestrzenią a czasem. Dotychczas niewidoczne daty zaczynają być dla oka widoczne i dzięki temu opowiadają nową historię dygitalnego świata.

Jestem bardzo zadowolony, że udało mi się tą wystawę zobaczyć, nie wiem do końca jak te wszystkie obrazy powstają, ale też nie chcę wiedzieć. Chcę się nimi zachwycać bo są balsamem dla duszy, pełnym równowagi i harmonii. Nie odgrywa to roli czy są to wygenerowane daty wiatrów, czy koralu morskich, czy arktycznych lodowców. Są to „żyjące obrazy“, których wcześniej nigdy nie widziałem tak jak zaobserwowałem to dzisiaj na wystawie, można je zresztą oglądać godzinami.

Myślałem, że po powrocie do domu będę musiał przejść Digitalny Detox, ale nic z tych rzeczy. Gdy patrzę na zdjęcia z tej wystawy, to widzę podobieństwo do moich luster, którymi zajmuje się od lat. Różnica jest jednak wielka, bo moje dzieła są statyczne jak „Bitwa pod Grunwaldem“ a Refika nie. Dałbym wszystko, żeby moje lustra były tak miękkie i elastyczne jak digitalne rzeźby Refika.

Od dzisiaj patrzę na sztukę nowoczesną inaczej, widzę w niej coś czego wcześniej nie można było zobaczyć i za to jestem Refikowi wdzięczny.



## Gitta Rutlege

Polska

### Bez skazy

blask słońca całował rozległą tafłę jeziora  
wokół trzcina, przysłaniająca utopijne marzenia  
dzikie kaczki w oddali...

zaproszenie na kajak, skradziony pocałunek,  
melodie płynące z głośników... i plaża  
tak romantyczny dzień, niezbyt często się zdarza

„czy masz chłopaka?“...zapytał  
zauroczenie ...codzienny kontakt i randki,  
których wciąż było nam mało  
kamyki, celowane w okienko na piętrze,  
gdy cokolwiek się nie układało

niesiona podmuchem miłości  
pędziłam do Ciebie na skrzydłach  
niczym pegaz z niewoli uwolniony  
wpadałam w Twe silne ramiona,  
uśmiechnięta...uszcześliwiona...

przeżywaliśmy różne momenty  
dzisiaj...pamiętam tylko te wspaniałe  
godzenie Twej pracy... ze studiami  
nasze niewielkie mieszkanko,  
które nam wystarczało

narodziny upragnionego synka,  
który rączki miał spore,  
lecz wyglądał jak słodka, maleńka kruszynka

minęło ponad pół wieku...  
gdy nagle, zamknęłaś księgę życia Swego...  
mnie... jest zupełnie obojętnie,  
czy komuś podoba się to...czy nie...  
byłeś i na zawsze pozostaniesz,  
MOJĄ PIERWSZĄ, WIELKĄ MIŁOŚCIĄ

w głębokim zamyśleniu...  
nadal będę czytać Twą księgę  
nawet... wiele razy  
dopiero dzisiaj rozumiem,  
iż nie istnieje człowiek nie popełniający błędów  
i ...dzieło sztuki bez skazy...

do zobaczenia ...kocham Cię !

Maj 2023

# Kobieca dusza

Eugenia  
Cieszynska

Polska

– Dzień dobry witaj słońce, witaj sąsiedzie słowiku, witajcie moje stare cztery ściany w nie moim kraju z dala od rodzinnego domu.

Nazywam się Klara Bernadetta Koniecpolska, właściwie powinnam napisać Klara Bernadetta Jutrzenka fon Koniecpolska tak, mój dziadzius pochodził z hrabiowskiej rodziny herbu Ostoja... nie pamiętam, jak to się stało że nie pamiętam? Aha już wiem, przecież mam 92 lata. Urodziłam, się w Kartuzach na Pomorzu jak to się wtedy mówiło w rodzinie inteligenckiej.

Tata był zawiadowcą stacji, a mama była nauczycielką języka polskiego i łaciny,

Znowu ten straszny ból głowy, czuję że gorączka rozpiera mi ciało, dławię się, tak bardzo pragnę napić się wody, nie nie chcę wody nie chcę już nic, tylko zasnąć.

– Ojczy któryś jest w niebie... ulituj się, zabierz mnie do siebie.

Minęła noc, wydaje mi się że nie zmrzyłam oka.

Zaraz minie kolejny długi dzień – czyżby tak samo samotny jak ja?

Od rana wspominam mamę, rodzeństwo, babunię... tylko taty nie pamiętam

Czuję jak drętwieje mi ręka, chcę nią poruszyć – nie mogę, czuję rozpierający ból w sercu drętwieją nogi, stają się jakieś ciężkie, jak nie moje, drętwieją mi usta, nie mogę mówić, spoglądam bezwładnie na żyrandol, już kurz usadowił się na kloszach – wstanę jutro z samego rana – posprzątam.

Chyba się zdrzemnęłam świat umknął mi na moment, nikogo tu nie ma, nie jadłam, całe życie przelatuje mi przed oczyma, jakieś daty, nazwiska i największy koszmar tego świata : wrzesień 1939 r.

Mamusia szykowała się do pracy, mówiła, że dzisiaj postara się wrócić wcześniej i pójdziemy do boru zbierać borówki, potem mamusia z babunią usmażą je z gruszkami z naszego sadu i robią konfitury, jesienią i zimą dodają do mięsa przy niedzielnych obiadach.

Bracia poszli już do szkoły

Nagle z płaczem wpadła do pokoju mama.

– Wojna ! Wojna ! krzyknęła.

Babunia cała we łzach padła na kolana i cichutko zaczęła się modlić.

Nastała cisza.

Pierwszego września 1939 roku wybuchła II wojna, rozpoczęła się od ataku Niemiec i Słowacji na Polskę.

17 września sowieci wbili nam już w plecy zajmując wschodnie tereny Polski. Broniliśmy się do pierwszych dni października 1939 r. u nas na Kaszubach najdłużej broniła się załoga Helu – do 2 października.

Na mocy decyzji III Rzeszy, cały obszar Kaszub znalazł się w granicach państwa niemieckiego (Gdańsk włączono już 1 września).

W ten sposób część Kaszub, która należała przed wojną do Polski, znalazła się, wraz z Gdańskiem, w Okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie (Reichsgau Danzig-Westpreußen).

W rozpoczynającym się we wrześniu 1939 r. konflikcie światowym, Kaszubi byli jednymi z pierwszych, którzy stawili Niemcom opór. Do rangi symbolu narodowego urosła postawa pocztowców Poczty Polskiej w Wolnym Mieście Gdańsk, wśród których było wielu Kaszubów.

Nie wiem jak tam znalazł się mój ojciec.

o jego śmierci dowiedzieliśmy się tuż po wojnie, albo inaczej po wkroczeniu ruskich, w 1945r.

Mama, gdy dowiedziała się o śmierci ojca w tym samym momencie osiwiiała, bardzo podupała na zdrowiu, później było tylko gorzej.

Po wejściu Rosjan przyjechaliśmy do Żukowa.

Znaleźliśmy małe mieszkanie przy stacji kolejowej, obok był plac targowy. Rosjanie zwozili tam Niemców, tych którzy byli przeznaczeni do deportacji za Odrę.

Byłam tam, pytałam o bliskich, a tam ludzie mówią:

– Na wozie leży dwóch Niemców, jeden postrzelony w kolano, a drugi w pierś. Ten przestrzelony w pierś nazywa się Nitecki, był Kaszubem, mówił do mnie po kaszubsku, nie pamiętam, o czym – wtedy widziałam śmierć po raz pierwszy, gdy wyzionął ducha. Zamknęłam mu oczy.

Zacierają mi się wspomnienia, wszystko zlewa się w jedną całość, czuję że słabnę nawet oczu nie mam siły otworzyć, strasznie chce mi się pić.

Szkłanka z wodą odsuwa się w kierunku innego świata, ledwie przełknęłam ślinę – obraz wspomnień na chwilę się zatrzymał, jak w kinie dla indywidualnego kinomana.

Jesienią 1939 r. Niemcy przystąpili do eksterminacji ludności Pomorza.



Wśród kilkunastu tysięcy pomordowanych w Piaśnicy oraz w Lesie Szpęgawskim znaleźli się Kaszubi.

W grudniu 1939 r. Niemcy przeprowadzili spis powszechny, babunia mówiła, że na 188 tys. osób, które jako ojczysty podały język kaszubski, 100 tys. przyznało się do narodowości polskiej, koło osiemdziesięciu tysięcy, do narodowości kaszubskiej, a ponad siedem tysięcy zadeklarowało narodowość niemiecką.

Wszyscy mówili, że tamtejszy namiestnik okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie, Albert Forster postrzegł Kaszubów, jako element wybitnie nadający się do zniemczenia, natomiast z drugiej strony za niegodnych uprzywilejowania oraz mało wartościowych pod względem rasowym.

Wiosną czterdziestego pierwszego. wydano rozporządzenie o Niemieckiej Liście Narodowej i Niemieckiej Przynależności Państwowej. Tak zwana Volkslista objęła osoby mieszkające na wcielonych ziemiach wschodnich Rzeszy i dzieliła ludność tych obszarów na cztery grupy.

Do pierwszej zaliczono osoby narodowości niemieckiej w okresie międzywojennym czynnie zaangażowane w działalność niemiecką.

Drugą grupę miały stanowić osoby narodowości niemieckiej niebiorące czynnego udziału w niemieckich organizacjach w okresie międzywojennym, ale kultuwujące niemieckie obyczaje i język.

Do grupy trzeciej zaliczano osoby ciężące ku niemczyźnie oraz posiadające częściowo niemieckie pochodzenie lub żyjące w związkach z Niemcami.

Czwartą grupę stanowiły całkowicie spolonizowane osoby narodowości niemieckiej oraz niemieccy antyfaszyści. Na dalszy losy Kaszubów miały znaczenie klęski poniesione na początku 1942 r. Armia niemiecka musiała wówczas uzupełnić coraz większe straty. Doprowadziło to do przyspieszenia akcji wpisowej.

10 lutego 1942 r. Himmler wydał rozporządzenie uznające społeczność zamieszkującą na ziemiach wcielonych za ludność niemiecką i wezwał ją, do złożenia wniosków o wpis.

A my... my chcieliśmy żyć!

Mama, gdy dowiedział się, że jej jedyny brat zginął na Westerplatte jeszcze bardziej podupadła na zdrowiu, nie mieliśmy jedzenia, babunia ciężko pracowała na kolei przy rozładunku wagonów, czasem przynosiła dodatkową porcję razowego chleba, a do wyżywienia było nas sporo : ja, dwie siostry i brat.

Mama podpisała folkslistę.

W ten sposób staliśmy się przymusowym materiałem, który uznano za nadających się do zniemczenia. Uchylający się od tego obowiązku byli podawani do wiadomości miejscowego gestapo, które wyznaczyło ośmiodniowy termin do podpisania wniosku. Jeżeli nie, groziło aresztowanie i wywiezienie do obozu koncentracyjnego.

Konsekwencją podpisania listy był pobór mężczyzn do wojska niemieckiego. Osoby, które odmówiły wpisu często trafiały do obozu koncentracyjnego w Stutthofie lub w Potulicach.

Kaszubi, którzy trafiali do wojska niemieckiego, dezertowali, uciekając do armii walczących z wojskami niemieckimi lub partyzantów. Dezercje stawały się nagminne zwłaszcza w schyłkowym okresie wojny, szczególnie na froncie zachodnim. W ten sposób bardzo wielu Kaszubów znalazło się w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, np. w II Korpusie Polskim gen. Władysława Andersa.

W korpusie tym byli także Kaszubi, którzy we wrześniu 1939 r. znaleźli się w niewoli radzieckiej.

Pamiętam, gdy sowieci wpadali do naszego domu najczęściej nocą, wrzeszczeli, kopali krzesła, kolbami karabinów przewracali garnki na kuchni, kazali pokazać gdzie ukryliśmy partyzantów. Pamiętam jak babunia biegła do pokoju i szybko zdejmowała portret marszałka Józefa Piłsudskiego ze ściany, potem chowała pod coś co służyło nam jako łóżko. Ten portret to jedyna, najcenniejsza pamiątka po dziadku Janie, który będąc w wojsku służył pod Piłsudskim, pamiętam jak wieczorami siadaliśmy na dywanie a dziadziś opowiadał nam o marszałku, a gdy kończył opowieść, podchodził do wyblakłego już portretu, gładził go, całował, a potem obejmował i trzymając rozłożone ręce mówił:

– Towarzyszu broni, wkrótce Bóg ci powierzy wszystkich twoich najwierniejszych żołnierzy.

Sama zaangażowałam się w działalność podziemną jako informator i współpracownik z wywiadem Armii Krajowej.

Dostarczałam informacje polskiemu wywiadowi, m. in. o fabryce benzyny syntetycznej w Policach (Hydrierwerke Pöllitz) a nawet o próbach rakietowych V1 i V2 w stacji doświadczalnej w Peenemünde na wyspie Uznam.

Pamiętam ten czas dobrze – zimą 1945 r. cywilna ludność niemiecka zaczęła opuszczać Pomorze w obawie przed nadchodzącą Armią Czerwoną, która w połowie stycznia przekroczyła Wisłę i zajęła lewobrzeżną część Warszawy. Niektórzy Kaszubi za przykładem, a nawet namową Niemców opuszczali swoje rodzinne strony. Szczególny przypadek miał miejsce na północy Kaszub. Ogromna liczba Kaszubów, może pięć a może nawet sześć tysięcy ludzi zostało przymusowo ewakuowanych, między innymi na wyspę Rugię i do Danii, której rząd kolaborował z hitlerowskimi Niemcami. Kaszubi byli także wśród ofiar niemieckiego statku Wilhelm Gustloff zatopionego w styczniu 1945 r. przez radziecki okręt podwodny. W styczniu 1945 r. Niemcy rozpoczęli ewakuację obozu w Stutthofie. W rozpoczętym tzw. marszu śmierci część więźniów zmarło, wielu jednak zdołało przeżyć wyczerpujący marsz, bądź uciec, co możliwe było dzięki pomocy miejscowej ludności.

Wkraczająca na Kaszuby w marcu 1945 r. armia radziecka

zapisła się w pamięci mieszkańców w najczarniejszym świetle.

Chowałyśmy się po piwnicach, zawsze szliśmy większą grupą, a o zmroku ulice były już całkowicie puste, bo gwałty kobiet stały się codziennością. Plądrowali mieszkania, zabierali, co się dało a czego nie mogli zabrać niszczyli. Wyswabdzali nas ze wszystkiego, nawet z człowieczeństwa.

Rosjanie wywozili Kaszubów w głąb Związku Radzieckiego. Wielu z wywiezionych nigdy już nie wróciło w ojczyście strony i wszelki słuch po nich zaginął.

Nigdy nie zapanę koszmaru pewnego listopadowego poranka.

Wracałyśmy z mamą z kaplicy, dopadło nas pięciu sowietów. Najpierw nas szarpali, bili, a potem ... straciłam przytomność, nie wiem ilu mnie zgwałciło, – a mama? Nie wiem, widziałam tylko jak ciągnęli ją w jakieś zabudowania.

Wówczas widziałam ją ostatni raz – miałam 13 lat. Ktoś później mówił, że widział mamę na dworcu jak pakowali tzw. element do wagonów z przeznaczeniem na deportację...ale to nie mogła być ona. Przecież miała nas, przecież by po nas wróciła. Jeszcze przez długie lata, a właściwie przez całe życie jak cień jest przy mnie ten koszmar. Czuję na sobie wielkie plugawe łapy rozrywające moje ciało, czuję obrzydzenie, upokorzenie, ból, słyszę krzyk mamy – Klara! Córeczko, uciekaj!

Kaszubów często uważano za Niemców.

Szczególną formą represji była przeprowadzona po wojnie akcja rehabilitacji i weryfikacji. Rehabilitacją zostały objęte osoby, które wpisały się w czasie wojny na niemiecką listę narodowościową. Z kolei weryfikacja dotyczyła przedwojennych obywateli niemieckich (wśród nich byli także Kaszubi) z terenów, które dopiero po II wojnie światowej znalazły się w granicach Polski. Na skutek polityki stosowanej przez komunistów wielu Kaszubów utraciło swój cały majątek lub zostało wysiedlonych do Niemiec.

Zostałam sama, sama w biedzie, bez mieszkania, bez rodziny, jadłam to co znalazłam, spałam kątem u znajomych albo po piwnicach, bywało że nie miałam się gdzie umyć. Pewnego dnia poszłam do kościoła, błagałam Boga by odmienił mój los, albo zabrał mnie do siebie.

Czuję jak oddalam się od siebie, a jednocześnie zostaję, dusza bezkrwawo rozdziera się od ciała. Oddycham jeszcze jestem...

Pewien ksiądz opowiadał o swoim znajomym któremu zabrano wszystkie dzieci do Bawarii, do pracy na plantacji. Mówił, że dzieci są najedzone, mają gdzie spać, i są dobrze traktowane.

Boże, jak ja chciałam wtedy jechać do Bawarii, marzyłam o ciepłym posiłku, nie straszna była mi praca w polu, tak bardzo pragnęłam kogoś bliskiego z kim mogłabym

porozmawiać, a najbardziej na świecie pragnęłam umyć się prawdziwym mydłem.

W końcu i ja doczekałam się i razem z innymi dziewczynkami zabrano nas do Bawarii.

Ciężko pracowałam w polu, ale miałam co jeść i kawałek dachu nad głową, a her Jurgen był naprawdę dobry. Gdy widział, że pracowałam więcej niż inni, dostawałam pochwały a czasem nawet kawałek czekolady, wtedy wstępowały we mnie jakieś dziwne moce i pracowałam jeszcze więcej, jeszcze sumienniej, więc w nagrodę gdy urodziło mu się dziecko zatrudnił mnie jako niankę.

Mieszkałam w prawdziwym domu z ogrodem i gdy mała Helga spała, pieliałam w ogrodzie, podlewałam, pomagałam zbierać i przetwarzać owoce. Państwo Waschek byli ze mnie bardzo zadowoleni.

Potem były następne dzieci, a ja ciągle przy nich tkwiłam, uczyłam chodzić, mówić, troszczyłam się o nie i na swój sposób kochałam.

Gdy dzieci były już duże opieki potrzebowali moi państwo, ja bez żadnego wykształcenia, samotna, bez własnego kąta, wdzięczna za uratowanie mi życia postanowiłam zostać z nimi do ostatnich ich dni.

O Polsce nigdy nie zapomniałam, tęskniłam, ale dopiero po pięćdziesięciu dwóch latach na kilka dni pojechałam do Gdańska. I nagle obnażyła się smutna rzeczywistość, okazało się, że nikt mnie tu nie chce, nikt nie czeka, jestem niepotrzebna, obca.

Znowu ból rozrywa mi płuca, drętwieją nogi, mam skostniałe dłonie. Strasznie mi zimno.

Ciemno. Nie wiem czy to już noc...

Mam wrażenie, że unoszę się nad łóżkiem, jestem taka lekka, już nie czuję bólu...

Ojciec nasz któryś jesteś w niebie... widzę samą siebie, widzę jak leżę na łóżku z szeroko otwartymi oczami.

Panie bądź miłościw...

Ja Polka, Niemka, Kaszubka, jakie to ma w tej chwili znaczenie?

Czuję błogi spokój, jakby zastygło moje ciało, kamienieją usta, odchodzi moja dusza, usycham, przestaje bić moje serce – nie oddycham

Nie ma już nic, a ja wciąż czuję, czuję jak ktoś lub coś zasłania mi twarz czarną delikatną chustą.

Czuję jej oddech, wiem że to ona, jest taka piękna, najpiękniejsza czerń wśród piękności, Ziemska Sprawiedliwość, stoi przy mnie, delikatnie zamyka moje powieki, cicha, przygarbiona, samotna, nie zasługująca na miłość, przysłała tu bym nie umierała w samotności.

Świat umarł.

Ja... jestem wolna, wolna od wojen, wspomnień, udręczeń, gwałtów.

*Proza na Międzynarodowy Konkurs Literacki „ Tam, gdzie kamienie mówią po polsku”...*



# Krótką podróż „Wazy”

**Sporo czasu minęło odkąd na szpaltach „Areny” nie było echa ze Szwecji, a przecież tam zarejestrowane jest nasze Stowarzyszenie dziennikarskie i warto byłoby zatem wiedzieć o ciekawych wydarzeniach z tego kraju...**

Będąc wiosną 2016 roku w Sztokholmie w Ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej w Królestwie Szwecji po odbiór Nagrody „Człowieka Roku Polonii za całokształt działalności szerzenia kultury polskiej i dziedzictwa narodowego w Szwecji, działalności patriotycznej, społecznej i charytatywnej na rzecz potrzebujących w Polsce. Dostaliśmy tę Nagrodę oboje jako jedyne małżeństwo w Skandynawii. W czasie tej naszej wizyty w Sztokholmie postanowiliśmy, szczególnie Wiesław jako oficer Lotnictwa Morskiego RP, zwiedzić największą od pierwszych dni 1961 roku turystyczną atrakcję Sztokholmu, mianowicie Muzeum największego szwedzkiego statku wojennego galeonu „Wasa”. Znajduje się na jednej z siedmiu wysp Sztokholmu-Djurgarden wśród innych zabytków muzealnych m. inn. obok Muzeum Narodowego. Góruje ponad wielkimi budynkami, z dała widoczne urokliwie przyciąga wzrok! Radzę, gdy ktoś z naszych Członków zawita turystycznie do Sztokholmu, aby odwiedził Muzeum „Wasa,” zbudowanym w 1987–1990

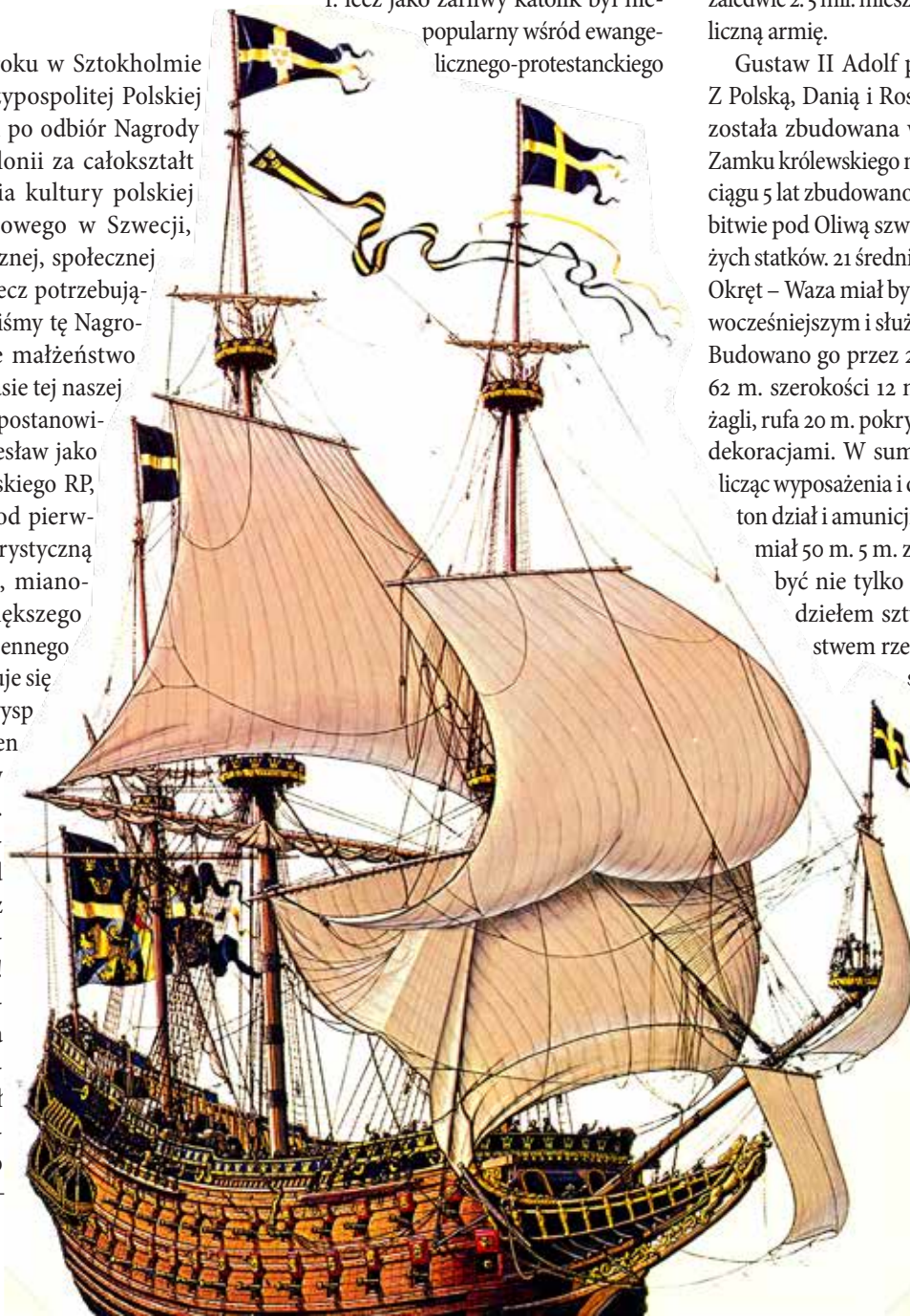
roku na powierzchni 12, 5 km. Muzeum ciekawsze tym bardziej dla nas Polaków, gdyż okręt Waza w 1628 roku miał wyruszyć w swoją dziewiczą podróż na wyprawę blokady Gdańska. Gustaw II Adolf-ówczesny król szwedzki zaplanował bitwę pod Oliwą, która miała zdecydować o ostatecznym wzięciu Polski pod panowanie Szwecji.

Warto prześledzić historię okrętu na tle dziejów szwedzko-polskich. Wnuk króla Gustawa Wazy-Zygmunt III był królem Szwecji od 1592 r. lecz jako żarliwy katolik był niepopularny wśród ewangelicznego-protestanckiego

społeczeństwa. Między innymi dlatego stracił szwedzką koronę w 1599 r. na rzecz swego stryja Karola IX Sudermańskiego, po którym na szwedzkim tronie zasiadł jego syn – Gustaw II Adolf. Ten już od najmłodszych lat był przygotowywany do roli władcy, wykształcony, znał sześć języków obcych w tym polski. Okazał się wielkim reformatorem ówczesnej armii szwedzkiej. Dzięki temu, że chłopci i biedota miejska byli zobowiązani do służby wojskowej, mimo iż w tamtych czasach Szwecja liczyła zaledwie 2.5 mil. mieszkańców mogła wystawić liczną armię.

Gustaw II Adolf prowadził trzy wojny: Z Polską, Danią i Rosją. Za jego panowania została zbudowana w Sztokholmie obok Zamku królewskiego nowoczesna stocznia. W ciągu 5 lat zbudowano 25 nowych statków. Po bitwie pod Oliwą szwedzka flota miała 8 dużych statków, 21 średnich i 29 małych okrętów. Okręt – Waza miał być największym i najnowocześniejszym i służyć jako galeon flagowy. Budowano go przez 2 lata. Kadłub długości 62 m. szerokości 12 m. – maszty z 1200 m. żagli, rufa 20 m. pokryta rzeźbami i bogatymi dekoracjami. W sumie ważył 1300 ton nie licząc wyposażenia i dekoracji, balast o/k 100 ton dział i amunicji, od stępki do masztów miał 50 m. 5 m. zanurzenia. „Wasa” miał być nie tylko pływającą fortecą, ale dziełem sztuki. Ozdobiony mnóstwem rzeźb-figur cesarzy rzymskich, postaci z Biblii

np. Króla Dawida, z greckiej mitologii np. figura Herkulesa jako symbol siły i odwagi, patrona żeglarzy Prometeusza. Zimą 1627/28 był gotów. Planowano, że udźwignie 60 dział, ale w końcu jako główne uzbrojenie miał 48 dział z których można było strzelać na odległość 1500





m. Wszystkie armaty, które ważyły 72 tony umieszczono na dwóch pokładach, co dziwi nawet dzisiejszych historyków. Załoga składała się z o/k 160 osób, a dodatkowo. można było wziąć 150-200 żołnierzy.

W dniu 10 sierpnia 1628 roku urzędnicy admiralicji i dworu królewskiego (oprócz Króla Gustawa, który był wtedy w Polsce) oraz zebrani mieszkańcy Sztokholmu żegnali „Wazę”, odświętnie udekorowanego wychodzącego w dziewiczy rejs.... Galeon majestatycznie skierował się wzdłuż brzegu ku dalekiemu wyjściu na Bałtyk. Pogoda była piękna, wiatr słaby, ale nagły podmuch przechylił okręt na lewą burtę. W ostatniej chwili zdołano wyrównać kurs, ale następny podmuch przechylił okręt na lewą burtę i to tak mocno, że woda wdarła się przez paradnie otwarte klapy na pokład. Maszty już nie wróciły do pionu, wnętrza galeonu szybko wypełniły się wodą.... stało się to tak nagle ...Można jedynie wyobrazić sobie panikę na pokładzie i rozpacz dostojników oraz ludzi obserwujących tragedię z brzegu ...Nic nie mogło już uratować „Wazy”, szedł na dno w bulgocie wody i syku wypieranego zeń powietrza. Przy słonecznej pogodzie, pod żaglami i flagowej paradnej gali zatonął na oczach setek ludzi niedaleko wyspy Beckholmen na głębokości 32 metrów. W katastrofie zginęło 50 osób. Sledztwo i sąd nad kapitanem i budowniczymi nie trwało długo, bo zmieniony projekt statku został zatwierdzony przez króla i radę admiralicji. Żadnego błędu konstrukcyjnego nie znaleziono. Dowód rzeczowy leżał przechylony na burtę w nieosiągalnej głębokości. Niektórzy członkowie komisji próbowali oskarżać za katastrofę kilku Polaków pracujących przy budowie o dywersję, ale prawdziwy powód był zupełnie inny. „Wasa” był planowany jako mniejszy okręt, plany zmieniano kilkakrotnie i nie zdołano zachować proporcji. Przez 333 lata przelażał na dnie prawie nie uszkodzony. Dopiero w 1956 roku archeolog Anders Franzen odkrył, że prawie w środku miasta Sztokholmu, na dnie morskim znajduje się wielki, regularny obiekt. Sonda mechaniczna wyniosła na powierzchnię próbki materiału, czyli czarnego, afrykańskiego dębu z którego zbudowano galeona „Wazę”. Niektóre części desek z tego czarnego, twardego dębu, które przeleżały tyle lat w morzu nie uszkodzone, Muzeum Waza przeznaczyło do nabycia dla



zwiedzających, jako pamiątki. Jedną z nich Wiesławowi udało się kupić na aukcji w Lundzie. Ma długość 110 cm. szerokość 27 cm. grubość 8 cm., oryginalny wyrzeźbiony napis „Wasa”, 3 zegary już dużo później założone. Deska wisiała u nas nad kominkiem w naszym domu w Malmo ponad 30 lat... W ubiegłym roku 15 października 2022 przekazaliśmy ten wyjątkowy, unikalny eksponat do Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni.

W Muzeum w Sztokholmie można galeona niemalże dotknąć, zachowany jest w oryginalnym stanie. Okręt jeszcze dziś

budzi zachwyt swoją wielkością. Miał płynąć do Polski, by wzbudzić sensację i postrach a wyglądem miał symbolizować majestat i potęgę Królestwa Szwecji. Nie miał jednak szczęścia, aby zobaczyła go Polska pogrążona w wojnie ze Szwecją.

„Waza” to najlepiej na świecie zachowany z XVII wieku okręt wojenny, trójmasztowy, wręcz dzieło sztuki, jedyne w swoim rodzaju.

*Opracowała na podstawie szwedzkich dokumentów Danuta Kapergren*

# Czasy się zmieniają

## notatki, nagłe skoki do tyłu



Bolesław Bieniasz

Belgia

Zaczynając niniejsze opowiadanie pragnąłem nadać mu jako tytuł sentencję łacińską z jej poetyckim rytmem: *Tēmpora mutāntur et nōs mutāmur in illis*.

Sentencja ta mówi o wciąż „zmieniających się czasach”, by – w jej drugiej części – przypomnieć nam, że „i my stajemy się inni”.

Za moich młodych czasów często wtrącało się do rozmowy zwroty i przysłowia łacińskie. Dziś o wiele mniej, gdyż „czasy się zmieniły”. Przedwojenny gimnazjalista, poza greką i nauką języków współczesnych, otrzymywał tygodniową dawkę 11 godzin łaciny. Dzisiejsze tempo życia pozwala nawet małym dzieciom, zanim rozpoczną szkołę, osłuchać się z takimi określeniami jak OK, biznes, computer itp. oddalając go od atmosfery czasów antycznych. Najstarsze pokolenie nie miało nawet pojęcia, że może zaistnieć coś takiego jak telewizja ale każdego roku cieszyła go śnieżna zima. Często mówimy „coś za coś”, niemniej w powyższym przypadku wydaje się, że nie mamy wyboru. Nawet Mont Blanc staje się niestety coraz mniej biały.

Życie patrzyło spode łba. Bawiliśmy się w chowanego. Zapewne ze wszystkimi. Tak bywa zwykle po wojnie. Zupełnie nieświadomie szukałem jego sensu, sensu życia, najczęściej latem, w czasie wakacji, zagubiony wśród przyrody wsi małopolskiej. Pewnego dnia, w południe, patrząc z góry na nasłonecznione wierzchołki lasu, wydało mi się, że znalazłem odpowiedź. Bezsłowną. Była nią nowa droga odczucia daleka od tumultu i drobnych, mało znaczących spraw codziennych.

\*

Piszę list do Ciebie. Bez przerwy. Myśli biegną zygzakiem. Obrazy łączą się z konkretnymi słowami. Zdają się wyskakiwać z podświadomości. Dotyczą wydarzeń dnia lub innych, sprzed pół wieku, nawet faktów z lat 40. Notuję je odrazu, niezależnie od okoliczności. „Odgrzewane” tracą na spontaniczności. Po powrocie do domu włączę je do kolejnego listu.

\*

Tydzień temu widziałem starego mężczyznę o orientalnej twarzy. Tak wyobrażam sobie kogoś z Aleksandrii lub Pustyni Judzkiej

sprzed około 2.000 lat. W Belgii spotkałem twarze o rysach znanych mi z rzeźb rzymskich. Niektóre rysy zaskakują nas podobnie jak przebiśniegi.

\*

Pewien znajomy rodem z Polski spostrzegał ulotne spojrzenia i uwagi wypowiedane szeptem pod jego adresem. Bywał stałym gościem słynnej kawiarni w centrum jednego z zachodnich miast, gdzie większość personelu rozmawiała po turecku. Wiedziony nagłym impulsem zapytał jedną z kelnerek czy jest Turczynką. Żachnęła się. Poprosił, by powiedziała mu czy jego nos jest turecki. Zaskoczona kobieta przypatrzyła mu się uważnie i odpowiedziała starannie dobierając słowa: tak ale nie z samej Turcji, tylko znad Morza Czarnego.

Atawizm, DNA czy niczym niewytłumaczalny zbieg okoliczności ?

\*

Według przekonań wielu specjalistów ciało człowieka, i zapewne zwierząt, zwłaszcza ssaków, otoczone jest, tym samym przedłużone, aurą prądów elektrycznych. Podobno nauka jest zgodna z tym mniemaniem. Pewne aparaty posługujące się czymś podobnym do promieni rentgenowskich potrafią tę aurę sfotografować. Osoby niezwykle wrażliwe i obdarzone swego rodzaju szóstym zmysłem dostrzegają ją, i co więcej, potrafią określić czyjś stan zdrowia, opierając się na analizie kolorów i kształtu jego aury. Aura jednego osobnika może przeciąć się z aurą innego, wejść z nim w symbiozę. Jasnowidz wychwytyuje myśli napotykanych ludzi. Podobno fakt ten – stale ukazujące się dziesiątki detali, jest dla niego niezwykle męczący. Mówi się też, że osoby spokrewnione z sobą duchowo, niejako „przeznaczone” do zawarcia znajomości – jakby wołaniem z dala – poszukują się telepatycznie. Kiedyś odnoszono się do tych spraw z nieufnością. Dziś wydają się one wiarygodne, gdyż wiemy, że otacza nas gęsta sieć fal elektro-magnetycznych, rezultat promieniowania anten, komunikacji telefonicznych i sygnałów krążących satelitów. Chcąc, nie chcąc, by nie powiedzieć nolens volens, zostawmy to wszystko na boku i zajmijmy się domeną skojarzeń i zbiegu okoliczności.



## Niespodziewane nawiązanie znajomości

W czasach mojej młodości, pewnego popołudnia po trzech godzinach intensywnego ćwiczenia Chaconny Bacha i kadencji do Koncertu Brahmsa wybrałem się na przechadzkę po starym Krakowie. Tym razem nie od strony Rynku, raczej Kazimierza i początku Stradomia. Miałem zamiar dojść aż do Wawelu. Idąc, słyszę w myśli trudne następstwo nieopanowanych jeszcze akordów. Skupiony i pchany patriotyzmem lokalnym zastanawiam się czy ta dzielnica nie jest najpiękniejszym miejscem na świecie. Wtem starszy wiekiem mężczyzna skromnie ubrany wyrwa mnie z zadumy. Zagradzając mi drogę prosi o wskazanie mu jakiegoś pięknego obiektu. Zważywszy na bliskość, postanowiłem zaprowadzić go pod kościół św. Katarzyny, który ukryty wśród zaułków, chwytem średniowiecznego efektu zaskoczenia nagle ukazuje się przechodniom. Patrząc na budowlę z boku, w lot pojmuję się słowo „nawa”, pochodzące od łacińskiego *navis* – okręt. W naszym przypadku ogromny kościół-korab jakby strzelający w górę, wydaje się górą wychodzącą z głębin morskich. Nie uprzedzajmy faktów.

W naiwności młodego wieku sądziłem, że ten człowiek, w rzeczywistości stary wyga, znalazł się po raz pierwszy w moim mieście i czuje się nieomal zgubiony. Chcąc go przygotować na fascynujący widok nadmieniałem, że kilka kroków dalej czeka go olśnienie. Nagle wykrzyknął: „jakie piękne!” Olśnienie dotyczyło raczej mnie. Jeszcze nie doszliśmy do rogu, nie mógł więc ujrzeć niczego. Straciłem grunt pod nogami. Na szczęście było jasno i w tych malowniczych zaułkach nie brakowało przechodniów. Prawdę mówiąc, osobnik ten zachowywał się jak czarodziej szukający magicznej lampy, nazwanej później lampą Alladyna i wypytujący na ulicy bawiące się dzieci. Nie wiedziałem, że znów wpadnę w pułapkę, kiedy zapytany o moje nazwisko nieopatrznie wypowiedziałem je. Człowiek ten jakby tylko na to czekał. Przystanął, wyjął portfel i wyciągnął z niego fotografię siostry mojej dalekiej ciotki bliźniaczko do niej podobnej i ubranej w czepek i kitel. Na kolorowym zdjęciu kitel ten byłby zapewne ciemno niebieskiego koloru. Nowy znajomy wsparł całość odpowiednim komentarzem. Przekonałem się niezbitnie, że zna całą rodzinę. Kiedy kilka dni później opowiedziałem ciotce o tym niecodziennym zdarzeniu, zbladła i srogo zbesztła mnie za moją nieostrożność. Dodała, że wie o kim mówię i że ten człowiek nie jest godny zaufania. Powracając do spotkania, z rozwiniętej już rozmowy dowiedział się, że jestem studentem konserwatorium, co otwarło mu drogę do wprost nieprawdopodobnego ciągu dalszego. Zaprosił mnie do baru znajdującego się po drugiej stronie Wisły. Pijąc ze mną piwo (co nie należało do moich zwyczajów) pragnął wskrzesić swe wspomnienia. Według jego słów w latach 30. studiował malarstwo na paryskiej Akademii Sztuk Pięknych. Wówczas należało do dobrego tonu pobieranie lekcji fortepianu u Karola Szymanowskiego, rodaka, słynnego kompozytora bywającego lub chwilowo mieszkającego w tym mieście, stolicy świata. Dowiedziałem się od niego, że Szymanowski ze wszystkich kwiatów najbardziej lubił mimozę. Także i to, że po śmierci

artysty znaleziono w kieszonce jego kamizelki środki uśmie-  
rzające. Szymanowski cierpiał na gruźlicę i raka gardła. Szukał  
krótkich chwil oddalenia bólu.

## Ulica

Po latach przeżyłem inne, choć w gruncie rzeczy nieco podobne zdarzenie. Bliska mi koleżanka poprosiła mnie, bym udał się z nią do Anwerpii i pomógł w załatwieniu pewnej sprawy muzycznej. Mogłem przy okazji być zaangażowany do nagrania. Pojechaliśmy. Pozornie dobrze znająca drogę i pewna siebie zgubiła się zupełnie w centrum miasta. Wyszedłem z samochodu, by spytać kogoś o poszukiwaną ulicę. W tej samej chwili zauważyłem starszego, drobnego mężczyznę stojącego w pewnej odległości i uważnie patrzącego w moją stronę. Podszedłem do niego, pozdrowiłem go po flamandzku i postawiłem pytanie. Ku memu zdziwieniu odpowiedział mi po niemiecku. Potrzeba mi było ułamka sekundy, by zdać sobie sprawę z faktu, że moja koleżanka nabyła kilka dni wcześniej samochód zarejestrowany w Niemczech. Czując zdziwienie, a może i małe zakłopotanie rozmówcy starałem się kontynuować rozmowę w innym języku. Miły przechodzień wyczuwając cień zawahania zapytał mnie po francusku z jakiego kraju pochodzę i z którego miasta. Zdziwiony moją odpowiedzią uśmiechnął się i zaczął mówić po polsku. Zapytał też o ulicę przy której mieszkałem, następnie o mój zawód. Okazało się, że w czasie wojny mieszkaliśmy niedaleko siebie. Poczułem do niego żywą sympatię nie wiedząc, że to jest właśnie on. Wiele lat wcześniej poznałem się z jego rodziną w równie „przypadkowy” sposób. Wiedziałem, że ich krewny mieszka w Antwerpii. Tymczasem podziękowałem mu i szybko wróciłem do samochodu nie rozwijając tematu, czego do dziś żałuję.

Zdarza się niekiedy, że – jakimś zrzędzeniem losu – do-  
wiadujemy się o czymś nie wprost lecz etapami. Kiedy zmarł,  
a po kilku latach jego żona, rodzina przystąpiła do likwidacji  
mieszkania. Otrzymałem w prezencie część ich biblioteki.  
W jednej z książek przeczytałem jego mroźące krew w żyłach  
wspomnienia z okresu, kiedy był więźniem obozu koncentra-  
cyjnego w Auschwitz.

*kwiecień 2022*

## Kicz albo głębokie wzruszenie

Jeszcze w przedszkolnym wieku miałem okazję przeżyć fascynu-  
jący wprost spektakl międzynarodowego cyrku występującego  
gościnnie.

Jeden z numerów ilustrował niecodzienną lekcję muzyki. Słoń  
przykryty purpurową kapą ciągnął pianino stojące na platformie.  
Małpa przebrana za Mozarta wunderkinda chesała kudłatego  
pieska, podczas gdy jej profesor zaznajamiał ją z początkiem  
słynnej piosenki „Ah vous dirai-je maman”, streszczającym  
się do siedmiu dźwięków, z czego sześć pierwszych stanowiły  
powtarzane nuty. Słoń, karmiony bananami przez clowna,  
postępował miarowo. Po okrążeniu areny, zarazem po krótkim



momencie osłuchania się, małpa wskoczyła na kolana swego mistrza, wpatrzyła się w jego palce biegnące po klawiszach i – małpując go – odegrała bezbłędnie poznaną melodię : « la-

wynalazcy tego języka, po przeczytaniu notatki osłabła wprost z emocji i osunęła się na stołku. Wszystko skończyło się pomówieniem sanitariusza o zbyt nachalne zajmowanie się omdlałą i zupełnie niepotrzebne zaaplikowanie jej sztucznego oddychania.

12/ 6/ 22

## Podobieństwa i zbieżności

Pomiędzy karłem i olbrzymem istnieje frapujące podobieństwo. Obydwaj mają jeden nos i parę uszu.

Istnieje również ogromna zbieżność łącząca restaurację, prawo i tajną policję. Możesz udać się do toalety, by zmienić wygląd zakładając perukę lub odwracając marynarkę na drugą stronę. Mimo ewentualnego zawahania kelnera odnośnie tożsamości klienta, tak czy owak zapłacisz rachunek, nawet jeżeli konsumpcja nie dała ci pełnej satysfakcji. Każdy stolik oznaczony jest ścisłym numerem. Możesz próbować ucieczki. Wcześniej czy później odnajdą cię i poniesiesz konsekwencje.

Pada jednak pytanie czy wyjątkowe sytuacje nigdy nie mają miejsca. Doszła do moich uszu opowieść o niecodziennym wypadku jaki się przydarzył słynnemu adwokatowi. Siedział przy stoliku, obok którego znajdował się murek dzielący lokal na dwie części. Pewien bywalec tej restauracji, jakkolwiek trzeźwy, okazał się tak rozochocony rozmową ze współbiednikami, że niepoohamowanym gestem strącił

z murku butelkę gigantycznych rozmiarów będącą ozdobą zakładu. Nie wiem czy był to rzadki egzemplarz Nabuchodonosora, Hannibala czy też Mathusalema. Butla spadając roztrzaskała okulary prawnika oraz niedopitą filiżankę kawy ze śmietanką, plamiąc mu krawat, koszulę i kostium. Historia zakończyła się polubownie i korzystnie dla obydwu stron. Adwokat cierpiący na zapalenie ścięgna wezwał swego asystenta, by przetransportował ofiarowaną przez restauratora butelkę zawierającą 15 litrów ośmioletniej whisky. Podczas gdy stażysta zajmował się sporządzaniem elementów do fotomontażu, mecenas zredagował tekst przeznaczony dla zakładu ubezpieczeń.

1-szy dzień lata 2022

\*

Nie wszystko, o czym się mówi okazuje się dla wszystkich interesujące.



Grafika wygenerowana przez AI Dally-E

-la, mi-mi, fa-fa, mi ». W nagrodę otrzymała kilka cukierków owiniętych w kolorowy staniol. Publiczność szalała z zachwytu, a słoń, widząc czekającą na niego wiązkę marchewki, skierował się ku wyjściu. Ten niewiarygodny numer wrył się wszystkim w pamięć. Nikt nie robił zdjęć. W tamtych odległych już czasach aparaty fotograficzne należały do rzadkości, a kolorowe zdjęcia nie zostały jeszcze rozpowszechnione. Purpurowa kapa, banany, marchewki i błyszczący staniol uszłyby uwagi na czarno-białych odbitkach.

W jakiś czas potem, w drukowanym programie tego słynnego cyrku ukazała się krótka wzmianka na temat podziwianej przez setki tysięcy widzów lekcji muzyki, a zredagowana w esperanto, zataczającym coraz szersze kręgi. Obecna na spektaklu młoda dziewczyna, daleka krewna prof. Zamenhofs,

# Flo – moja miłość

Stefan  
Godecki

Niemcy

Moja miłość do Flo zaczęła się w jesieni mojego życia. Jest niespodziewana i zaskakująca, namiętna, głęboka i bezkompromisowa.

Flo znalazłem wcześniej z opowiadań i wielu zdjęć. Podobała mi się, ale to uczucie wymagało czasu i cierpliwości z obu stron. Do takiej miłości trzeba dorosnąć i szanować ją całym swoim życiowym doświadczeniem. Dlaczego nie poznaliśmy się wcześniej? Trudno powiedzieć, może to los tak chciał, bo będąc zakochanym we Flo potrzebuję bardzo dużo wolnego czasu, którego wcześniej nie miałem.

Nasza miłość zaczęła się wieczorem w garażu „Italy“ na Via Fiesolana gdy po długiej podróży oddawałem moje auto na przechowanie na następne kilka dni. Ten moment jest przełomowy, bo to były moje pierwsze kroki w kierunku poznania Flo.

Flo najpiękniejsza jest w nocy, mimo, że nie jest najmłodsza, ale wtedy jest naprawdę sexy. Widać już na pierwszy rzut oka, że stara się o swoją urodę mimo, że nie jest to łatwe. Od początku naszej znajomości minęło już kilka lat a za każdym razem gdy przyjeżdżam do Flo „odkrywam“ ją na nowo. Śmiało mogę dzisiaj powiedzieć, że znam jej dobre i złe strony, które mi sama odkryła. Ma trzy bardzo charakterystyczne miejsca i te odszukuję u niej za każdym razem z największą namiętnością. Co ciekawe ich wygląd zmienia się wraz z porami roku, ale to dodaje Flo jeszcze więcej urody.

Flo jest stała w uczuciach i jeszcze nigdy mnie nie zdradziła, nie miało by to też sensu, bo ja i tak bym wrócił

do niej. Flo mnie nie rozpieszcza, ale daje to czego inne nie dały i tak już chyba zostanie. Flo śpi trochę dłużej, bo ten normalny szary dzień rozpoczyna się dla niej gdzieś koło 10 – tej. Wtedy wszędzie pachnie

kawa i zastanawiam się co nam ten dzień przyniesie. Ona potrafi się dobrze zorganizować i bardzo mnie tym zaskakuje bo jak na Włoszkę to wcale nie takie oczywiste.

Za każdym razem przygotowuje







też dużo niespodzianek, i za to jestem jej najbardziej wdzięczny. Ich wyszukiwanie stało się już tradycją, na którą czekam niecierpliwie. Te niespodzianki, to studiowanie jej na wysokim poziomie i tu czuję, że Flo jest wymagająca, ale też daje co ma najlepszego, a ja muszę się porządnie przygotować aby wszystkie niespodzianki zrozumieć. Flo od zawsze kochała jeść i nie gardziła dobrym winem. Wręcz przeciwnie walczyła o ostatni kieliszek z innymi, najlepszą markę oraz jego niezapomniany smak. Jest kosmopolityczna, międzynarodowa i jak najlepszy przyjaciel pozwala na wolność i bycie sobą.

Flo ma w swoim życiorysie wiele walk, potyczek ale też zwycięstw i za to jest też szanowana. Wyróżnia się wysoką i szeroko rozumianą kulturą i kontynuuje w tym kierunku swoje działania, każdego dnia wykazując się ogromną wiedzą.

Przy tych wszystkich pozytywnych cechach jej małe wady nie są warte nawet wspomnienia. W czasie pandemii Flo pomagała jak tylko mogła, była prawdziwą opiekunką dla biednych i potrzebujących, na każdym kroku było widać jej aktywność. Nie jest bardzo bogata, ale potrafi się dzielić od dawna.

Moja miłość do Flo w jakiś sposób

kończy poszukiwania jeszcze piękniejszej, jeszcze mądrzejszej i pozwala mi spokojnie dać jej też coś od siebie i to nie jest tylko podziw i szacunek, ale dozągonna wierność i przyjaźń.

Wiem, że może na świecie są jeszcze inne „Flo“, ale te przestały mnie interesować i stało się to w tym momencie jak pewnego dnia pierwszy raz wyszedłem z garażu „Italy“. Przeszedłem kilka kroków na Via Borgo Pinti i znowu mogłem wziąć w ramiona moją kochaną córkę. Od tego momentu Florencja czyli FLO stała się moim hobby. Cieszę się zawsze jak uda mi się ją odwiedzić i ona odwziewa mi się prawie zawsze wspianą pogodą.

Mój dzień we Florencji zaczyna się od małego śniadania i spaceru na pobliski targ. Jest, to jeden z dwóch największych targów znajdujących się w pobliżu miejsca mojego zamieszkania. Uwielbiam ten gwar, zamieszanie, sprzedawców wychwalających a raczej wyśpiewujących swoje towary i na dodatek te kolory, świeżych pachnących owoców i warzyw. W hali targowej są małe pawilony z potrawami regionalnymi, stoiska z rybami i mięsem. Często zastanawiam się kto i kiedy zamienia kawałki świeżego mięsa w prawdziwe dzieła sztuki, przewiązane ozdobnym sznurkiem i udekorowane, jak na prestiżową, wystawę światową i już tak wcześniej wystawia je na sprzedaż.

Za targiem warzywnym jest targ kwiatowy. Czegóż tam nie ma. I znowu te kolory różnych gatunków kwiatów, który często nie znam. Po drugiej stronie ulicy w ostatnim czasie wybudowano małe pawilony, które zastępują dawny plac targu staroci. Jest to bardzo tajemnicze miejsce. Mieszają się tam ekspozycje z przeszłości z nowoczesnymi obrazami, kiczowatymi pamiątkami i prawdziwymi arcydziełami ze szkła, drewna i marmuru. Stamtąd już tylko kilka kroków do najlepszej



piekarni we Florencji o nazwie „Leonardo“, a ja mam na drugie imię Leonard po dziadku, gdzie sprzedawczyni z tym samym serdecznym uśmiechem mnie zawsze wita bez względu na moje drugie imię, o którym nie wie. Wita mnie za każdym razem bez względu na to czy kupię tylko mały chleb czy ciasta na święta i niezapomniane ciasteczka z orzeszkami pistacji.

Za pierwszym skrzyżowaniem od tej piekarni, to już prosta droga do mojej ulubionej kawiarni „PoP“ na Santa Spirito. Mimo, że to kawałek drogi, to jednak pokonuję go z przyjemnością. Może wyposażenie tej kawiarni, które stoi w lecie i zimie na zewnątrz kawiarni wymagałoby trochę farby, ale to jest myśl, która zapewne tylko mnie przychodzi do głowy dla reszty klientów, to niezauważalny drobiazg. Tu nie chodzi o krzesła i stoły, tu chodzi o kawę, a ta jest wspaniała. W lecie pije się tu przeważnie Aperol, który zawiera wszystko co taki napój czyni odświeżającym i smacznym.

Na tym placu można spędzić cały dzień, czasami zapominam, że chcę odwiedzić jeszcze inne miejsca i bezmyślnie, ale z największą przyjemnością przyglądam się przechodniom, turystom i starszym ludziom, którzy przemierzają ten plac w drodze do kościoła.

Zewnętrzna bryła tego renesansowego kościoła jest chyba najskromniejsza z wśród kościołów Florencji. Zapewne wynika, to z tego, że jest to ostatnia budowla Filippo Brunelleschi, której nie zdążył zakończyć przed śmiercią. Wieczorem bardzo często ten kościół jest też ekranem dla różnych animacji filmowych co wprawdzie odbiera mu trochę tego „świętego“ charakteru, ale dostarcza wielu nowych wrażeń i zdobywa tym sympatię siedzących do późnych godzin prawdziwych fanów tego placu. Jak już wcześniej wspomniałem Flo – Florencja ma trzy kultowe miejsca i wszystkie łączą się z placami

kościelnymi. Poza Santa Spirito jest to plac przed kościołem Santa Croce i plac przed kościołem Sant Ambrogio.

Nie sposób te miejsca opisać jednym zdaniem, każde z nich ma swoją publikę i historię, która sięga do nich od XIII wieku.

Każdy z nich jest ważny dla miasta i spełnia odmienne funkcje. Plac Santo Spilito, to podawana nazwa z ust do ust dla najbardziej wtajemniczonych turystów. Ponieważ leży po drugiej stronie Arno, która to rzeka była granicą między centrum a biednym obrzeżem, więc wcześniej

nie było tradycji odwiedzania tej dzielnicy. Jedyną interesującą budowlą jest Pallazzo Pitti, które już swoim ogromem odstrasza wielu turystów, tym bardziej, że na jego zwiedzenie potrzeba dni a nie godzin.

Santa Croce, to największy i najbardziej reprezentacyjny plac. Tu odbywają się prawie wszystkie uroczystości już od 500 lat. Pilnuje go dużych rozmiarów pomnik Dantego, który mieszkał o kilka kroków od tego placu. Jednak najbardziej „miejscowym“ jest plac przed kościołem Sant Ambrogio. Tutaj świętują





każdego dnia od 19,00 do późna w nocy sami mieszkańcy tej dzielnicy. Nie wszystko jest tu pięknie wymalowane i mało co nastawione na turystów, więc przeciętny florentryńczyk czuje się tutaj jak u siebie w domu. Faktem jest, że ulica i place we Florencji, to część jak najbardziej należąca do specyficznego sposobu mieszkania w tym mieście i tak też jest traktowana.

Wracając po kawie z Santo Spirito muszę przejść przez wszystkie te place co też już jest moim stałym rytuałem.

Ale co robić z tak pięknie rozpoczętym dniem?

Najlepiej położyć się na krótką

drzemkę, bo jest już z pewnością godzina 14.00 a dzień jest przecież długi i czekają nas jeszcze inne niespodzianki. Tym bardziej, że sklepy i restauracje są o tej godzinie zamknięte również na południową przerwę, bo inni też robią sobie drzemkę.

Koło 18.00 można znowu wyjść na miasto. Tym razem idę zupełnie innymi ulicami na Plac Republiki. O tej godzinie odjechały już prawie wszystkie autobusy z ciekawskimi jednodniowymi turystami i można złapać oddech bez przeciskania się w tłumie. Po drodze mijam bardzo wiele różnych sklepów, w których sprawdzam aktualność mojej wiedzy na temat mody i antyków, co jest

konieczne aby brać udział w jakiegokolwiek dyskusjach na te popularne tutaj tematy. W tych rozmowach jest nieodzowna też wiedza na temat materiałów, które dominują w modzie a w wypadku Florencji jest to skóra.

Pewnego dnia odwiedziłem Akademię Skóry, to wyższa uczelnia, w której nauka kończy się bardzo poważnym dyplomem, a można nauczyć się tam wszelkich technik wymaganych przy produkcji butów, torebek i odzieży łącznie ze skomplikowanymi programami komputerowymi, które tym celom służą. W tym regionie taka szkoła jest tak samo potrzebna jak Politechnika Śląska w Gliwicach. W początkowym okresie poznawczym miasta nie zdawałem sobie z tego sprawy. W okolicach Florencji hoduje się też specjalne rasy krów, które dostarczają tego poszukiwanego materiału w najlepszym gatunku. Na placu Republiki zawsze jest wesoło nie tylko dlatego, że kręci się tam od lat zabytkowa karuzela, ale również dlatego, że jest to miejsce dla karykaturzystów, malarzy i oczywiście zespołów muzycznych grających we wszystkich nurtach muzycznych. Niektórzy przychodzą ze swoimi instrumentami, a niektórzy zabierają je po drodze zanim dotrą do tego placu. Tak robi mój ulubiony „perkusista“, który za nic ma drogie bębny i talerze a najlepiej czuje się w graniu na wiadrach po farbie i kawałku blachy, który można znaleźć na każdym śmietniku. Wypracował jednak swoją „muzykę“ perfekcyjnie. Posiadając dodatkowo aktorskie zdolności stał się lokalną gwiazdą, na koncerty której chętnie przystaję w moich wieczornych wędrówkach.

Około godziny 20.00 można zacząć rozglądać się za jakąś restauracją na zasłużony obiad. Dobre restauracje otwierają od 20.00, ale lepiej pójść tam później bo zaraz po otwarciu siedzimy sami przez godzinę albo nasi sąsiedzi, to zgłodniały turyści, którzy czekają na ten



moment już od kilku godzin i ich grymas na twarzy nie wróży nic dobrego, tym bardziej, że piece dopiero się rozgrzewają co dodatkowo wydłuża czekanie na posiłek. Lepiej więc poczekać jeszcze godzinę i wybrać restaurację na jednym z wielu tarasów znajdujących się na dachach lub najwyższych piętrach hoteli lub kamienic. Tam już turystów jest mniej, miny bardziej spragnione dobrego wina i wyszukanego, wspańskiego jedzenia w kilku odsłonach celebrowanych do północy. W takiej restauracji możemy prawie mieć pewność, że selfi jakie będzie robione talerzowi z jedzeniem bardzo dobrze wpływa na trawienie bez ciągłego dzwonienia do rodziny, ustawiania, uśmiechania się jak głupi do sera. Wiedza o tych tarasach, to duży kapitał w tym mieście, i ci którzy ją opanują mogą liczyć na kulinarne wyżyny nie koniecznie płacąc więcej niż ci, co wybierają poziom „O” przy placach. Po takim wspaniałym wieczorze jeszcze tylko krótki przystanek na kieliszek czerwonego wina na Sant Ambrogio i już można się udać na spoczynek, a rano ten rytuał zacznie się od nowa.

Florencja za każdym razem zaskakuje mnie nowymi wystawami, otwarciem nowego muzeum, albo ciekawego obiektu, którym może być hotel lub restauracja. Idąc jej ulicami słyszy się w zasadzie tylko jeden dźwięk. Jest to dźwięk młota pneumatycznego, burzącego ściany prawie w co drugiej kamienicy. Ponieważ przeważnie jest ciepło więc przy otwartych oknach, jest to bardzo specyficzna „muzyka“. Można się jednak do tego przyzwyczać, myśląc o tych wszystkich nowościach, które zaskoczą nas przy następnych odwiedzinach.

Jest jednak kilka stałych obiektów, które odwiedzam.

Palazzo Strozzi to jeden z nich. Fantastyczne pomieszczenia na fantastyczne wystawy światowej klasy.

Drugim, jest muzeum sztuki

nowoczesnej, gdzie w jednej jego części są okolicznościowe wystawy, czasami też na światowym poziomie. W pałacu należącym do firmy Salvatore Ferragamo znajduje się muzeum, bardzo specyficzne bo poświęcone modzie i produktom tej firmy na przestrzeni ostatnich 100 lat. Co kwartał zmienia się tematyka wystawy i mimo, że wcześniej może nie zainteresowałbym się takim tematem, odwiedzam te wystawy regularnie, bo sztuką jest nie tylko to co jest prezentowane, ale także sposób jak to jest zaprezentowane, to wystawy na światowym poziomie.

Na placu Santissima Annunziata, jest muzeum pokazujące sztukę malowania ołtarzy i ich architekturę. Muzeum to dokładnie obejrzałem swego czasu, ale powodem, dla którego za każdym razem je odwiedzam jest kawiarnia na piątym piętrze, o której wiedzą tylko przypadkowi goście. Przeważnie jestem tam sam z dala od telefonów komórkowych, głośnych rozmów z możliwością podziwiania dachów i kopuł Florencji. Pomieszczenie kawiarni w połowie otwarte, to dawny taras dla dzieci w pierwszym w Europie a chyba i na świecie domu dla sierot.





Każdego roku otwierają się też nowe muzea typu muzeum selfi albo iluzji albo modeli, które mają mało sensu w tym renesansowym otoczeniu. Wielkie remonty i przebudowy w tej starej tkance miasta wiążą się z dużymi dotacjami i po kilku latach zostają zamknięte z braku zainteresowania turystów, ale wyremontowane z dotacji za miliony wnętrza pozostają. Jest to chyba specyficzny, ale bardzo prosty i efektywny sposób na remonty w tym mieście. Nie dziwię się gdy nagle po długiej restauracji we wspaniałym Palazzo nagle zostaje otwarte kolejne muzeum Medici lub ich często w nieznanym sposobie zaginionych żon.

Mógłbym jeszcze wiele pisać o parkach i wzgórzach otaczających miasto, Winnicach i pomnikach, ukrytych skarbach ratusza i najlepszej

restauracji, Bistecca alla Fiorentina i jej smakołykach, ale to można przeczytać w każdym przewodniku.

Na poznanie tak naprawdę mojej kochanej Flo potrzeba bardzo wiele wolnego czasu, bez przewodnika. Tutaj poza turystami nikt się nie śpieszy, dzień również ma pełne 24 godziny, ale toczących się w zupełnie innym rytmie niż, to co znam z naszego kraju. Pieniądże grają tu dużą rolę, ale są też ważniejsze rzeczy takie jak picie i jedzenie i to nie musi być drogie. Przed jednym ze sklepów spożywczych w czasie pandemii widziałem kosz z napisem – „jeżeli możesz to daj – jak potrzebujesz to bierz“. Kosz ten zapełniał się produktami nie sponsorowanymi przez sklep, ale przez kupujących, którzy zostawiali w nim różne produkty. Być może wiąże się

to ze starą florencką tradycją, która oferowała spragnionym szklanekę wina wystawioną w specjalnym małym okienku przy wejściu prawie do każdego domu. Pewnie od tego czasu w „żyłach“ Flo płynie Chianti Classico, które powoduje, że ludzie są weseli, serdeczni, spontaniczni, ale nigdy pijani.

Kiedy pomyślę, że w XIII wieku Flo była tak duża jak Paryż i Londyn, to jestem szczęśliwy, że nie rozwinęła się w tym samym kierunku co jej „koleżanki”.

Flo czyli moje ulubione miasto Florencja pozostała ludzka i do bezwzrostowego pokochania.

Za to jej dziękuję i przyrzekam dogonną wierność, bo Flo to moja miłość.

*Listopad 2022*



# Koty

M a r e k   K o t

P o l s k a

Jeśli jesteśmy już przy temacie zwierząt, to przypomniałem so — bie o fantastycznej rodzinie, a właściwie wyjątkowym małżeństwie. Opole, ulica Grunwaldzka. Zbliżał się wieczór, a ja miałem za sobą bardzo pracowity dzień. Zmęczenie dawało się we znaki. To była ostatnia wizyta tego dnia. Przedwojenna, wysoka kamienica, która zdawała się do mnie mówić.

— Wiesz ile skrywam tajemnic? Wejdz do środka, to się przekonasz.

Takie budowle zawsze mnie zachwycają swoimi historiami. Byłem ciekaw, kim są ludzie mieszkający w tym zabytku, jak im się żyje? Trzecie piętro to zwykle żadna trudność do pokonania. Jednak bolały mnie już nogi i dosłownie „zdobywałem” to piętro, trzymając się asekuracyjnie drewnianej poręczy. Krok za krokiem, stopień po stopniu. Szedłem do góry po pięknych, drewnianych schodach. Stary, klimatyczny dźwięk wydobywający się spod moich stóp towarzyszył mi w drodze do celu. Dębowe schody grały swoją melodię. Nagle w końcowej fazie wspinaczki rozbłysło światło i w jednej chwili klatka schodowa przestała być ciekawa. Zatrzymałem się, a akustyka jakby zamarła. Ja — sność obnażyła klatkę z tajemnic, tym samym wyprowadzając mnie z przedwojennej atmosfery korytarza. Gdzie są podrapane ściany i stojące metalowe wiadra wypełnione węglem? A gdzie czarny kot panicznie uciekający? — oczekiwałem ich. Wtedy zrozumiałem magię starych trzeszczących schodów. Sporo widziały i niewątpliwie miały dobrą pamięć. W końcu stanąłem przed ostatnimi drzwiami tej kamienicy. Musiałem się jakoś zaanonsować, więc wcisnąłem dzwonek. Po chwili drobna osóбка przywitała mnie serdecznie:

— O nowy kominiarz! Tu do nas przychodził inny pan, ale zapraszam.

Wchodząc od razu zwróciłem uwagę na karykaturę. Krzywe zwierciadło przedstawiało męską twarz z nałożoną maską ilu — zjonisty, maga czarującego swoim spojrzeniem i szaloną fryzurą. Przystojny młodzieniec o wrażliwych oczach spoglądał z wysoka na każdego, kto przekraczał próg tego mieszkania. Zapraszał i witał szarmanckim uśmiechem. Tuż obok na ścianach przedpokoju wisiła galeria pamiątek. Zdjęcia przedstawiały kociaki, głównie chyba dachowce. Tonęły w objęciach Mileny i Staszka, jak się do — wiedziałem, właścicieli lokalu. Ładunek wrażliwości przedstawiony na zdjęciach był ogromny. Kotki w większości były inwalidami. Bez oka, łapki czy uszka, a jednak kochane i potrzebne. Także ciekawa była sceneria. Całe tło ujęte na fotografiach było mi do — brze znane. To były Włochy. Tak, tak, to Bella Italia! Westchną — łem z nostalgią

i ruszyłem w podróż do przeszłości. Pamiętam, gdy skończyłem osiemnaście lat postanowiłem w celach zarobkowych wyjechać do Włoch. Wydawało się to mało rozsądne posunięcie, ponieważ nie znałem włoskiego. Jednak kupiłem bilet i pociągiem przez Francję dotarłem do Italii. Co ciekawe na drugi dzień po przyjeździe znalazłem pracę!

Tymczasem w dużym pokoju czekała na mnie Milena i Staszek, jak mi powiedzieli, małżeństwo z wieloletnim stażem. Właśnie rozpocząłem wizytę w ich mieszkaniu, ale też za ich pośrednictwem — twem wróciłem do swoich wspomnień — połączyły nas Włochy. Wchodziliśmy sobie w słowa. Pod wpływem wspomnień każdy z nas bie potrafił powstrzymać emocji. Na stole pojawiło się wino i spaghetti. Włoska elegancja i słynna romantyczność zawi — tała wraz z muzyką dochodzącą z pokoju. Dwadzieścia pięć lat ich pobytu we Włoszech, to przecież szmat czasu. Kawał życia. Oboje opowiadali o swoich przyjaciółkach i czym się tam zajmowali. Wrzucali między wierszami włoskie melodyjne słowa. Poprosiłem żeby mówili w tym języku, chociaż przez chwilę. Wspaniale się prezentowali. Piękna mowa płynąca z ust pięknych ludzi. To jakby rarvtas podany na złotej tacy.







Podczas naszej rozmowy pod nogami co jakiś czas pojawiały się koty. W końcu zapytałem:

— Ile macie tych zwierzątek?

Jednoznacznej odpowiedzi nie usłyszałem. Przeszli jednak do ich imion i do uczuć jakimi je darzą.

Dwie urocze osoby, zakochane bezgranicznie w najpopularniejszych zwierzętach w naszych mieszkaniach. Oboje przeżyli wspaniałe chwile we Włoszech. Tam zaczęła się też ich miłość do kotów. Odwiedzali często Rzym, gdzie po ulicach szwendało się ich wiele bezdomnych. Zrozumiałem, że to ich wielka radość i dla tych zwierząt zrobią wszystko. Ich mieszkanie było wyposażone w rozległy taras. Staszek wykorzystał jego przestrzeń tworząc podwórkową enklawę dla kociaków. Wspaniali ludzie. Ogromne wrażenie zrobiła na mnie ich autentyczność. Brak jakiegokolwiek oporu w opowiadaniu o tym, co czują do kotów. Trochę o dobro i ich zdrowie potwierdziła się, kiedy Staszek od — krył jakie mam nazwisko. Zwrócił uwagę na świetne połączenie kota z kominiarzem lub odwrotnie.

— Uważaj jak chodzisz po dachach — tymi słowami zwrócił

się do mnie gdy kończyłem wizytę — nie jesteś kotem! — do-rzucił po chwili.

— No nie, nie jestem kotem, ale nazywam się Kot. To już chyba coś?!

Staszek zdębiał.

— Ty się Kot? Milena! — przywołując żonę, zaczął przyglądać mi się dokładniej. Czulem, że dzieje się coś niezwykłego.

— Jeśli nazywasz się Kot, to przyniesiesz nam podwójnie szczęście. Coś niesamowitego. Wracaj do nas — westchnął. Po tej informacji zmuszony zostałem do przedłużenia swojej wizyty.

— Usiądź jeszcze na chwilę — zwrócił się do mnie Staszek wskazując miejsce przy stole.

— Kurde, jak ja się cieszę, że przyszedłeś do nas dzisiaj. Masz może jakąś pamiątkę w postaci figurki lub maskotki kominiarza?

— Tak, mam, przyniosę wam jutro.

— Bo wiesz, chciałbym żebyś przychodził częściej. Dla ciebie drzwi naszego domu są zawsze otwarte. Co za zbieg okoliczności — stwierdziła Milena.

Wszyscy zaczęliśmy ponownie składać te rozsypane puzzle wspomnień z Włoch. Każdy odkrywał coś wspólnego z drugim. Nawet koty nie bały się już do mnie podejść, a zazwyczaj







zachowują się asekuracyjnie. To spotkanie było mi potrzebne. Zdobyłem przyjaciół i dzięki nim zbliżyłem się do zwierząt.

Jakiś czas później spotkaliśmy się na ulicy. Po krótkiej wymianie zdań, Staszek w formie zapytania oznajmił pewien fakt.

— Czy miałbyś coś przeciw, gdyby twoje zdjęcie zawi — sło u nas w kuchni? Byłem u fotografa w sklepie Rzemieślniku. Zaraz przy drzwiach w dolnej części wystawy jesteś na zdjęciu jako kominiarz. Powiedziałem fotografowi na wyrost, że mam od ciebie pozwolenie i zrobił mi jedną odbitkę. No i zawisło na ścianie w naszej kuchni!.

Zrobiło mi się bardzo, ale to bardzo miło. Byłem dumny z siebie, z nich, z nas. Z tego, że ktoś tworzy taką formę amuletu dla siebie z moim udziałem.

Ta historia jest kolejnym potwierdzeniem wielozadaniowej i po — ważnej roli kominiarza w naszym społeczeństwie. Dbamy o bezpieczeństwo mieszkańców i domowników. Jednak bardziej jesteśmy postrzegani jako atrakcyjny element głośnego przesądu. Wszyscy wierzą, że przynosimy szczęście każdemu napotkanemu człowiekowi. Ludzie wierzą i niech tak zostanie. To, że chcemy być szczęśliwi i doświadczyć szczęścia, przedstawię w kolejnym opowiadaniu.



Gitta  
**Rutlege**

Polska

## Pytania retoryczne

Nie jednemu się to przydarzyło,  
gdy... za bardzo tęsknił,  
a pod wspólnym dachem,  
żony... już od tygodnia nie było

a młodzietka lokatorka,  
choć urodą nie grzeszyła,  
ale była chętna... i pod ręką była,

on był „pod wpływem” i tego nie chciał,  
został ...perfidnie sprowokowany,  
w głębokim zamyśleniu...  
zadawał sobie liczne, pytania retoryczne:

żona...już od TYGODNIA jest po porodzie  
dlaczego tak się zmieniła ?  
przecież przed ślubem szczuplejsza była...

zaliczyłem ...NIEWINNY SKOK W BOK,  
a żona zdradą to nazwała ?  
bez pardonu POZEW złożyła ?  
rozvodu zażądała ?

NIEWIERNOŚĆ ...nigdy nie popłaca  
kobiety orientują się doskonale ,  
iż bez względu na powody...  
NIKT nie jest w stanie uwieść NIKOGO,  
bez jego chęci i zgody...

Poznań 2023

# Nasze wspomnienia

Danuta

## Kapergren

Szwecja

**Fragmenty wspomnień z pierwszych lat pobytu na uchodźstwie w Szwecji, Te, które utkwiły mi w sercu, które pamiętam tak, jakby to działo się przedwczoraj, a przecież minęło od tamtych chwil ponad 40 lat...**

Przy małej uliczce w willowej dzielnicy Malmo – Ekgatan 45 znajdował się niewielki kościółek katolicki, gdzie Ojcowie Oblaci ze Stowarzyszenia poznańskiego prowadzili duszpasterstwo wśród szwedzkiej Polonii. Odprawiali jeden raz w miesiącu Mszę św. w języku polskim. Gromadka małych polskich dzieci tuliła się do O.O. Rudolfa Basisty, jednego z trzech polskich księży. To on najczęściej zajmował się nimi organizując Jasełka na święta Bożego Narodzenia, a w maju przygotowywał do 1-ej Komunii świętej. Kiedy znalazłam się na uchodźstwie w Szwecji, po wypadkach grudniowych w Polsce, pierwsze kroki skierowałam do tego małego kościółka. Byłam serdecznie

przyjęta wraz z córką i mężem przez Ojców Oblatów. Szczególnie zaprzyjaźniliśmy się z ks. Rudolfem i ks. Wilhelmem. Obaj księża mieli duszę artystyczną. Śpiewali, grali na organach, harmonii. Wielu Polaków to przyciągało, gdy mogli z nimi pośpiewać polskie piosenki podczas tzw. „kawy kościelnej”, po zakończeniu Mszy św. szczególnie, gdy odbywało się to, w pięknym, ocienionym wielkimi, starymi drzewami ogrodzie przykościelnym. Bardzo mi się to spodobało i odpowiadało moim zainteresowaniom. Gram i śpiewam od najmłodszych lat. Mogę nawet powiedzieć, że od przedszkola, gdy ze swoimi rówieśnikami powtarzałam wierszyki i piosenki. Marzyłam, żeby być w przyszłości artystką, albo nauczycielem. To ostatnie się spełniło.

Jako nauczyciel języka polskiego organizowałam różne uroczystości poetycko – muzyczne z okazji okolicznościowych świąt narodowych ponad 25 lat z polską młodzieżą i dziećmi. Postanowiłam więc, że i tutaj spróbuję zorganizować coś podobnego, a szczególnie, że poprowadzę nauczanie języka polskiego, historii, geografii w ramach

polonijnej działalności duszpastersko – narodowej. Zaczęłam też uczyć kilkoro dzieci gry na pianinie. W nauce tańca ludowego pomógł mi znajomy, młody baletmistrz z Zespołu Mazowsza, Wojtek Nejman, który pracował w Teatrze Muzycznym w Malmo, zachęcił też swoją żonę – Dunkę, występującą w balecie w/w teatrze. Tak wspólnymi siłami, oczywiście przy pomocy Ojców Oblatów i rodziców dzieci, zaczęła zamieniać się grupka dzieci w sporą gromadę. Dochodziły również dzieci z rodzin mieszanych polsko – szwedzkich, co ułatwiło zarejestrowanie ogniska w Urzędzie Miasta Malmo i umożliwiło otrzymanie np. domku wypoczynkowego w podmiejskich lasach, gdzie dzieci spędzały czas wolny od szkoły.

W roku 1975 powstał pomysł, aby założyć organizację, zwłaszcza, że doszły dwie panie nauczycielki, które zaofiarowały się prowadzić dzieci w wieku przedszkolnym. Mamy i tatusiowie chętnie pomagali w pracach organizacyjnych typu gospodarczego.

Mój mąż pierwszy całym sercem włączył się w tę działalność. Gdy stanęliśmy przed problemem nadania imienia





zespołowi, to jego propozycja „Ognisko Kwiaty Polskie„ przeszła w plebiscycie, łącznie z aprobatą Biskupa z Poznania, który nas odwiedził i cieszył się, móc służyć radami. Mąż mój został Ojcem Chrzesnym Ogniska. Uzasadniał, że kwiaty rozwijają się z pączków, rozkwitają i cieszą każdego z nas tak i niech nasze dzieci rozwijają się z pączków, kwitną, pachną i cieszą wszystkich. Napisałam hymn dla „Ogniska”, który zaczyna się „...znam kwiaty, które ,kwitną i pachną, ale nie znałam dotąd kwiatów, które tańczą i śpiewają...” Weszło w zwyczaj, że po występach, dzieci go śpiewały i rzucały w widownię zrobione z bibuły kwiatki.

Napisałam też tekst do melodii ludowej ”Jak dobrze mieć przyjaciół”

Jak dobrze mieć przyjaciół, stale, każdego dnia  
Jak dobrze być z nimi w gronie, bez fałszu i bez zła  
Choć czasem łąza się kręci i smutek w sercu łąka,  
U boku przyjaciela, łatwiejsza dola twa.

Tak wszystkim więc wiadomo, przyjaciół warto mieć  
Przyjemnie płyną chwile, wśród przyjacielskich serc  
Pomocną rękę masz, uśmiech i uścisk też  
Jak dobrze mieć przyjaciół Ty chyba o tym wiesz !



Bożena  
**Sroka**

Polska

## Dziewczyna

Była dziewczyną  
nie z tego świata,  
śpiewała choć nie umiała,  
gwizdała z wiatrem w kominie,  
liście we włosy wplatała,  
nic sobie z życia nie robiła. Była.  
Burzę w sobie nosiła, wybuchała  
a czasem kruchą była, jak porcelana.  
Miała w oczach blask,  
w sobie coś niezziemskiego,  
coś czego nikt nie umiał nazwać.  
Serce mogła na zawsze komuś skraść  
lub serce mogła komuś na zawsze dać.  
Tak od niechcenia, zwyczajnie.  
Była dziewczyną na inny wymiar.





# Bez tytułu

## fakty stwarzające pozory fikcji



Bolesław Bieniasz

Belgia

*...naturalny czas narracji  
usytuowany jest w przeszłości...*  
Amos Oz

Mimo że głowa pęka mi od mnożących się sugestii, nie wiem od czego mam zacząć. Szczytem wszystkiego staje się brak wprowadzającego tytułu. Miałem wiele pomysłów, szczególnie na podtytuł, jak np. „zdarzenie wprost nie do uwierzenia” lub „skomplikowany zbieg okoliczności”. W końcu dałem temu spokój. Dla ścisłości, historia ta, daleka od typowej komplikacji, jest raczej złożona. Nie będę rozwijał zbyt licznych szczegółów. Pewne sprawy lepiej jest przemilczeć.

Przypadła mi w udziale bardzo wygodna sytuacja. Nie mieszając siebie w żaden z wątków, będę pisał na temat zwierzeń innej osoby. Wypadałoby zacząć od początku tj. od dzieciństwa. Po co jednak ryzykować uwikłanie się w psychoanalizę, zarazem niecierpliwic czytelnika, podcinając skrzydła opowieści, która się jeszcze nie zaczęła?

Przejdźmy do kwestii naczelnych. Oto relacja mojego długoletniego znajomego :

« Zasadniczy motyw wydarzeń miał miejsce pod koniec przyjęcia związanego z jubileuszem założenia pewnego muzeum. Obecni tam goście tworzyli około stuosobową grupę pozostającą w nieustannym ruchu – podchodzili do znajomych, przedstawiali nowoprzybyłych lub dosiadali się do stolików. Zapewne każdy przyszedł w innym celu, co zdarza się często. Jeden z przekonania, drugi z ciekawości, trzeci, aby go zauważono. Pewne osoby, związane obowiązkami dnia lub zadowolone z załatwienia prywatnych spraw, wnet podniosły kotwicę i odpłynęły. Po pewnym czasie, używając potocznego określenia, można było powiedzieć, że towarzystwo przerzedziło się. W miarę możliwości starałem się zamienić z każdym obecnym choćby kilka słów. Niektórzy zostawili mnie z pół-otwartymi ustami i w połowie opowiedanej im anegdoty. Przyznam się, że od pewnego czasu, z powodu nadmiaru pracy i lawiny informacji – choroby epoki, zawodzi mnie pamięć. Natomiast pomaga mi notes.

Urażony, wpisałem ich na czarną listę wklejoną do kieszonkowego kalendarza. W ostatni dzień roku czytam swe notatki. Czarną listę, niekiedy wydłużającą się, przenoszę do nowej agendy. Na wszelki wypadek zachowuję jej kopię w szufladzie. Zdziwiłbym się, gdyby ktoś nazwał mnie maniakiem. To inni, o kulturze, której wolę nie określać, wykazują manię wchodzenia komuś w słowo lub nie pozwalają rozmówcy dokończyć opowieści. Mój repertuar dowcipów, starannie wyselekcjonowany, jest najwyższej jakości. Niektóre anegdoty pochodzą z przełomu XIX i XX w. Przeżyły więc dwie wojny światowe, co samo mówi przez się. Tu, pozwolę sobie na małą dygresję, mimo że bardzo tego nie lubię. Istnieją dwa rodzaje słuchaczy zachowujących się skandalicznie. Jedni lub jedne (zachowajmy przynajmniej pozory poprawności politycznej), znając anegdotę – niczym oparzeni – wyskakują z puentą, by pokazać swe „obycie”. Inni, nieproszeni, opowiadają ją w skrócie, na dodatek w wersji ułomnej. Pewnego razu jadąc pociągiem i przysłuchując się rozmowie nieznanym o specyficznym poczuciu humoru dowiedziałem się, jakoby doradca Mussoliniego, emerytowany ekspert od języka etruskiego sugerował mu ustanowienie surowych kar za podobne występki. *Kto nie zna historii, skazany jest na jej powtórne przeżycie, uczy nas rozpowszechnione powiedzonko* ».

Oficjalna uroczystość, która odbyła się w murach muzeum oraz przyjęcie na wolnym powietrzu okazały się nadzwyczaj udane. Spotkałem kilka od dawna niewidzianych osób, nauczyłem się też trzech nowych słów włoskich i wypilem trzy szklanki wody mineralnej. Podkreślam, że wypowiadam się szczerze, co nie zawsze jest dostatecznie rozumiane i dobrze przyjmowane.

1° Muzeum. Niektórzy spośród zaproszonych widzieli pewne eksponaty po raz pierwszy. Ja znam je na pamięć, a inne, im podobne, mogę sobie wyobrazić. Poza tym lubię nietypowe powiedzonka. Jedno z nich, niefortunne, jakiś czas temu powtórzyłem pewnemu historykowi sztuki, który mnie zbeształ nie przebiegając w słowach. Cytuję : „*Kiedy*

zwidziłeś dziesięć muzeów poświęconych tej samej epoce, możesz śmiało powiedzieć, że znasz już jedenaste, którego nigdy nie widziałeś”.

2° Słownictwo włoskie. Od lat, w chwilach zdeprimowania, zaglądam do pewnej restauracji, by wypić tam filiżankę kawy. Właściciel zawsze pozdrawia mnie nobliwym dialektem sycylijskim, czekając na moją odpowiedź w jego ojczystym języku, także na jakiś dodatek w postaci nowego słowa. Kiedy mi się uda to przedsięwzięcie, jest po prostu szczęśliwy. Poluję więc na każdego, kto

może nauczyć mnie nowych wyrazów, zwłaszcza przymiotników w stopniu najwyższym.

3° Trzy szklanki. Przyznam się, że byłem spragniony. Proszę nie przeskakiwać i doczytać wszystko do końca. Spragniony mniej nie wody niż widoku stojącej za barem kelnerki o nadzwyczajnej, wstrząsającej wprost urodzie. Przez chwilę zapomniałem o wszystkich urazach. Pozornie. Marzyłem o czwartej szklance. Kelnerka nie kelnerka zniknęła z pola widzenia. Kręcąc się, zobaczyłem ją za biurkiem muzeum w trakcie układania książek i folderów. Myślę, że mogła to odłożyć na później. Kobiety obdarzone są jednak intuicją i może właśnie ten szósty zmysł ostrzegł ją przed moją zakamuflowaną nachalnością?

Tuż przed opuszczeniem muzeum wróciłem na podwórze, by podziękować organizatorce za trud i pożegnać się z nią. Musiałem poczekać chwilę, gdyż i w tym momencie była otoczona kręgiem kilku nieznanych mi osób i zajęta rozmową. Zachęcony uśmiechem, podszedłem do niej i zostałem przedstawiony jako artysta. Okazałem zadowolenie i udawany entuzjazm. Kilka osób coś szeptało, co mnie zupełnie nie zbiło z tropu. Wówczas, pełnym głosem zwróciłem się do niej w innym języku, co wywołało pewnego rodzaju zdziwienie, a może nawet o wiele więcej. Nadmieniałem, że przy następnym spotkaniu porozmawiamy do woli. Drobna kobieta podobna do starego ptaka i stojąca najbliżej mnie, być może rozumiejąca ten język, patrzyła na mnie jak na zjawę. Nikt się nie domyślał rzeczywistego sensu tej sceny. To, co miało miejsce, będąc z góry niezamierzonym aktem, mogłem zrozumieć tylko ja. Jak zwykle w podobnych chwilach, by zrzucić z siebie niewygodny ciężar, myślałem przelotnie o śniegach Kilimandżaro i Wodospadzie Niagary. Ktoś zapytał mnie czy mam może jakiś sekret do przekazania. Odpowiedziałem, że nie i że zmiana języka związana jest z pewną okolicznością nieco odległą w czasie. Śmiejąc się, wyobrażając sobie nie wiadomo co, poproszono mnie o uchylenie rąbka tajemnicy. Spragniony spowodowania szoku dodałem, że postępuję według wskazań przypadkowo spotkanego psychiatry. Wstrzymali oddech, jakby prąd po nich przeleciał. Rozwinę ten temat za moment.

Powracam tymczasem do motywu „zaczynania od początku tj. do okresu dzieciństwa”, o czym

wspomniałem w pierwszych zdaniach niniejszej noweli bez tytułu. W tych odległych czasach (mam na myśli dzieciństwo) musiałem paść ofiarą traumy, preradzającej się

w uraz i przekorę. Po latach zamierzałem skorzystać z do-rady specjalisty ale nieznany mi rodzaj zażenowania oddalił mnie od realizacji tego sensownego zamiaru. *Uciekając przed deszczem skryłem się pod rynną.* Powiem na marginesie, że to obrazowe powiedzonko w tej właśnie formie znane jest i cenione w Armenii. O moich dręczących problemach wspomniałem lekarzowi rodzinnemu, niestety bez oczekiwanego rezultatu. Lekarz ten albo ukrywał brak kompetencji, albo poświęcał każdemu z pacjentów jedynie 20 minut i ani sekundy więcej. *Co ma wisieć nie utonie.* Uczmy się życia z mądrości ludowej. Po latach, dyskutując z kimś innym, doczekałem się wyjaśnienia mojego problemu.

Tu nawiążę do ostatnich chwil wizyty na podwórzu muzeum tzn. do rozmowy ze znajomymi organizatorki. Powiedziałem im, że wydarzenie miało miejsce w niedawnym okresie pandemii koronawirusa, w przedziale 1-szej klasy pociągu (wiadomo, że lepiej jest unikać tłumu) dzielonym z jednym tylko pasażerem czytającym gazetę i często spoglądającym na zegarek. Pasażer ten wstał po chwili i sięgnął do tylnej kieszeni spodni, by – kierowany przezornością – wyjąć nową maskę chirurgiczną. Widocznie poprzednią, po czterech godzinach użytku, uważał już za niehigieniczną. W czasie wyjmowania maski wypadł mu na podłogę banknot studolarowy. Tym razem ja sięgnąłem do kieszeni, wyjąłem z niej plastikową rękawiczkę, podniosłem banknot i wręczyłem go właścicielowi. Wywiązała się rozmowa. Mój towarzysz podróży okazał się psychiatrą. Podziękował mi za uczciwość i zapytał w jaki sposób może mi się odwdzińczyć. Opowiedziałem mu o przeżytej kiedyś traumie, o echu dziecięcej krnąbrności, uporze i o pewnym momencie paniki, kiedy późno w nocy po dłuższej podróży, nie mogłem znaleźć klucza od mieszkania. Po prostu, po raz pierwszy i jedyne, wsadziłem go do innej kieszeni. Objaśnił mi, że zachowanie spokoju i równowagi zależne jest często od podstawowych przyzwyczajzeń, nawet tych, które uznajemy za banalne. Należy je kultywować. Stąd – zrozumiałem – kojarzenie organizatorki z jej ojczystym językiem nie było oznaką braku taktu względem innych lecz moją wewnętrzną potrzebą i... swego rodzaju nawykiem. Przy końcu mojej opowieści wszyscy się uśmiechnęli. Mam na myśli znajomych organizatorki.

Powracając do psychiatry, opowiedziałem mu kilka kawałów na miarę jego niepospolitego intelektu. Nie przerwał mi ani razu. Nie wiem czy medytował, czy też usnął na chwilę.

\*

Przypominam, że ta zwięzła opowieść pisana w pierwszej osobie nie ma ze mną nic wspólnego.

Stanowi zwierzenia bliskiego mi znajomego, o czym wspominałem powyżej. Tym samym, mając jednak jego zezwolenie, uchyliłem się od odpowiedzialności i trudu pisania przez wiele dni.

Czerwiec 2022  
© SABAM Belgium





Gitta  
**Rutlege**

Polska

## Oczekiwanie...

męcząca , biała noc  
a w niedomknięte okiennice  
już zagląda wiosenny poranek

świeżość powietrza... upaja

podziwiam bluszcz starannie przycięty  
chmurę ptaków, żeglujących po niebie,  
zauważam różę, ubraną w twarzową purpurę  
i oczekuję dobrych wieści od ciebie

jeśli choroba wywołuje ciszę...współczuję,  
lecz, jeśli pławisz się w rozkoszy chwili,  
trwaj chwilo...bowiem bywasz piękna

na parapecie, szary ptak przysiadł  
wypatruję...BIAŁEGO GOŁĘBIA !

z zadumy wyrzywa krzyk ciszy...który przeraża  
dochodzi- rytmiczne tykanie zegara,  
łopot skrzydeł motyla zaplatanego w sieć franki  
i szelest kartek spadających z kalendarza

zadaję sobie szereg pytań :

czy oczekiwany list ...w końcu nadejdzie?  
czy nadchodząca noc znowu będzie biała ?  
i czy ta bezsensowna cisza, nareszcie się skończy ?  
czy... w nieskończoność będzie trwała?



# Zsyłka emigranta

## przyczynek



Bolesław Bieniasz

Belgia

Życie podobne jest do jarmarku,  
na którym znajdziesz brylantynę,  
chrzan zawinięty w prasę brukową,  
nawet tkaninę z jeleniem na rykowisku

Taksówka wioząca mnie na dworzec ugrzęzła w korkach. Na następny pociąg czekałem około dwóch godzin. Pijąc herbatę – szklanka za szklanką – wspominałem minione dzieje.

– Czy pan jest cudzoziemcem? – zagadnął mnie ktoś, nawet nie wiem w związku z czym.

Wychowany na tradycji ustnej w epoce, kiedy – przypominając dawne, opowiadano bez końca rodzące się kawały, odpowiedziałem mu puentą słynnej anegdoty:

– Zależy gdzie.

Innym razem pewna kobieta – którą trudno byłoby nazwać damą, gdyż nie należy okłamywać czytelnika – zaproszona do jednej z placówek dyplomatycznych na noworocznego drinka, szukając zapewne zaczepki lub pragnąc być zaczepioną, postawiła mi pytanie, które – jak można się domyślić – nie bardzo przypadło mi do gustu. Najpierw, sądząc po wyglądzie, wzięła mnie za kogoś innego. Być może właśnie dlatego rozpoczęła rozmowę. Szanujący się emigrant zachowuje swe obyczaje, również i te dotyczące garderoby, o czym – z powodu niczym nieuzasadnionego poczucia wyższości – nie miała zielonego pojęcia. Dodam, że potrafiła mówić normalnie, choć niestety nie trwało to zbyt długo. Przyziemna, musiała być zasłuchana w baśnie podstarzałego nastolatka. Kiedy dowiedziała się skąd pochodzę, czego bynajmniej nie ukrywałem, tryb oznajmujący jej wypowiedzi przybrał ton „kpiąco-drwiący”, według określenia przedwojennego (dla ścisłości sprzed II-giej Wojny Światowej). To sformułowanie zatacza błędne już kręgi.

Oto jej pytanie:

– A wy, tam w Polsce, co macie oprócz Chopina i wódki?

(Nawet, gdy jest nadzwyczaj trudno trzymać się na wodzy, pewne miejsca i okoliczności zobowiązują do zachowania kurtuazji)

Kiedy odpowiedziałem jej, że mieliśmy największych

uczonych świata – z braku dobrych hamulców – wybuchnęła historycznym śmiechem tłumionym nieudolnie i, co gorsze, z powodu utraty głowy o mało co nie oblała mnie białym, nie-dopitym winem (szczęśliwym trafem nie zadławiła się). Pewna siebie, zażądała natychmiastowego uzasadnienia.

– Byli to, odpowiedziałem, Kopernik w dziedzinie makrokosmosu, a w zakresie mikrokosmosu Maria Curie. Nie użyłem nazwiska Skłodowska, gdyż – jak wszystko na to wskazuje – jej słuch nie mógł wychwycić tego rodzaju brzmienia. Czy była dwujęzyczna? Posługując się wyrażeniem niczym nieskrępowanych mediów, gwara nie była jej obca.

Kontynuując, cofnę się nieznacznie. W twym własnym kraju, kochanym przez wszystkich rodaków (poza wyjątkami), możesz zostać odrzucony w momencie, kiedy ktoś usłyszy, że mówisz lokalnym akcentem pachnącym, może tylko dla niego, prowincją lub kiedy pomyśli, że jesteś obcokrajowcem. W tym drugim przypadku czym się kieruje oceniająca cię osoba? Przecież – w ogólnym rozrachunku – nigdy nie wiadomo kogo się ma przed sobą. Jak można zapomnieć, że medal ma dwie strony? Po namyśle często dochodzimy do wniosku, że najlepiej jest nigdy nie wychodzić z domu lub ograniczyć się do podstawowych słów: „tak i nie”. Mówi się, także często odczuwa, że „nie jest mile widziane być odmiennym”. Po co się czuć na marginesie? W pociągu, by ukryć wymowę, możesz udawać ból zębów lub, lekko pokaszując, zasłaniać się chusteczką. Niektórzy (-re), dla zakamuflowania inności, czekają na odpowiedni moment i mówią coś udając, że się śmieją. Jeżeli i to się nie uda, znikają albo wysiadają z tramwaju (w pociągu lepiej jest pozostać). Pracując w biurze, skąd nie ma wyjścia, podobny chwyt nie ma racji bytu. Podobnie jest w małżeństwie, choć na innym gruncie. Pożartujmy chwilę. Humor, choćby cierpki, pozwala nam zapomnieć chwilowo o trudnościach dnia codziennego. Tak więc swej „lepszej” połowie w prosty sposób wytyka się błędy gramatyczne, wchodzenie komuś w słowo lub zbyt długie monologi. „Lepsza” rzuci „gorszej” niezaradność finansową, zły gust i brak zdolności nieomyślnego odgadania jakim bukietem ma wyrazić swe sentymenty. Poniżanie i ciche dni



podobne są do zsyłki, tym dotkliwszej, kiedy dzień po dniu krąży się we dwoje po rozstajach życia emigranta.

Nie ukrywam, że czasem waham się lub myślę. Bywają jednak momenty, że jestem siebie całkowicie pewien. Odnośnie spraw dawnych nie mogę narzekać na pamięć i nie muszę odwoływać się do dziennika intymnego. Czemu to zawdzięczam? Czy szóstemu zmysłowi, cechom atawistycznym, czy być może zdolnościom odziedziczonym? Tak czy inaczej dzieci upodobniają się do rodziców, nasiąkają ich osobowością, nawet w przypadku noworodków podmienionych nieszczęśliwym trafem. Pamięć zwykle jest wsparta naturalną lub wyuczoną wnikliwością, mleczną siostrą skupienia. Intonacja i gesty nigdy nie mylą. Mimo to doskonały aktor może wprowadzić cię w błąd. Powiedzmy, nie na długo.

Czy każdemu w jego własnym kraju wszystko się podobają? Może jest czymś zawiedziony lub chciałby coś ukryć? Zostawmy krótką chwilę na refleksję i pozostaniemy dyskretni.

Pchani podszeptami nigdy nie zasypiającej poświadomości opuściliśmy wody terytorialne. Komendą „cała w tył” powrócimy przynajmniej tak do zasadniczego tematu, jak i do tradycji ustnej. Niesamowita wprost historia, którą opiszę poniżej, miała miejsce, dla odmiany, przed I-szą Wojną Światową. By nie krążyć po rozstajach, zacznę tę opowieść od samego początku.

Nie znam imienia naszego bohatera, młodzieńca w kwiecie wieku. Nazwiska nie ujawnię. Wiem o nim tylko to, że był starszym bratem bliskich sąsiadów moich rodziców i że przeżywał prawdziwe katusze. Dręczony niesprawiedliwością społeczną „wołającą o pomstę do nieba” prowadził, pełną stresu, działalność konspiracyjną. W konsekwencji nabawił się psychosomatycznego wrzodu żołądka. Jego matka, kobieta przedsiębiorcza, o której wiem nieco więcej z innych opowieści, była bliska rozpacz. Jej sąsiadka – znająca się na dolegliwościach i nazywana przez wszystkich „serce na dłoni” – oprócz rosołu z drobiu żywiła go czerstwym chlebem, rumiankiem i warzywami gotowanymi na parze. Nie czas na jakiegokolwiek żarty. Użyć określenia „austriackie gadanie” byłoby wprost niewłaściwe, choć termin ten złagodziłby atmosferę opisywanej historii. Nasz bohater, zapewne typowy Galicjaner, otoczony zbyt pulsującym życiem, zapragnął odetchnąć innym powietrzem. Miał zapewne swe racje. Podróże pozwalają o niejednym zapomnieć. Ale kto wybiera się w drogę z rozpaloną głową? Młodzian Galicjaner, zamiast skorzystać z dobrodziejstw Adriatyku, ruszył na północ pod carski zabór. Nie sam i nie z towarzyszącą mu osobą, lecz z ulotkami zaszytymi pod podszewką. Nie znam niestety okoliczności jego fatalnej wpadki, szczegółów przesłuchania, czy też – co prawdopodobne – doraźnego sądu. W konsekwencji znalazł się w szczerym polu, na Syberii, na tzw. zsyłce. Poważnie chory, nie mógł karczować lasów ani kopać rowów. Skazano go na samotność. Za dnia wsłuchiwał się w podmuchy świszczącego wiatru i w odgłos dzikich zwierząt. Wieczorami w opowieść swych towarzyszy wracających z katorgi. O tej porze dnia

czekano niecierpliwie na zupełną obozową. Niekiedy warta przynosiła ogromny bochenek jeszcze ciepłego chleba. Jedzono go w pośpiechu, może nawet bez odmówienia przewidzianego błogosławieństwa. Kto by się zajmował takimi sprawami, gdy głód doskwierał, a myśl uciekała ku rodzinnym stronom odległym o tysiące kilometrów. Nasz młodzieniec, spragniony nie tylko sprawiedliwości ale i pokarmu, nie czekał, aż chleb wystygnie i – według wskazań felczera – dobrze szcerstwieje. Stop! Doszliśmy już prawie do końca opowieści. Po roku czy dwóch wrócił do domu bez najmniejszego śladu wrzodów. W tamtych czasach musiało się mówić o fenomenie psychosomatycznym, używając zapewne innych słów.

Wszyscy znamy zmienne spojrzenia, szeptane i bezpardonowe rozmowy za plecami. Ktoś „oszczekiwany”, nic o tym nie wiedząc, faktycznie znajduje się za burtą, poza nawiasem, na zsyłce. Po jakimś czasie domyśli się wszystkiego. Popatrzy w twarz jednemu, drugiemu, trzeciemu i nie ma już wątpliwości. Oczy są zwierciadłem duszy.

Możnaby mnożyć niezliczone przykłady. Te najsłynniejsze przeszły do historii. Inne, kryjące się po kątach, czekają na ich opis. By nie przepaść, zajmijcie się nimi.

## Postscriptum 1

W związku z poruszonymi tematami zasięgnijmy porady Sokratesa, jednego z największych myślicieli. Oto jedna z sentencji odziedziczonych po nim:

« Wielkie umysły zajmują się ideami, przeciętne wydarzeniami, mierne dyskusją na temat innych »

## Postscriptum 2

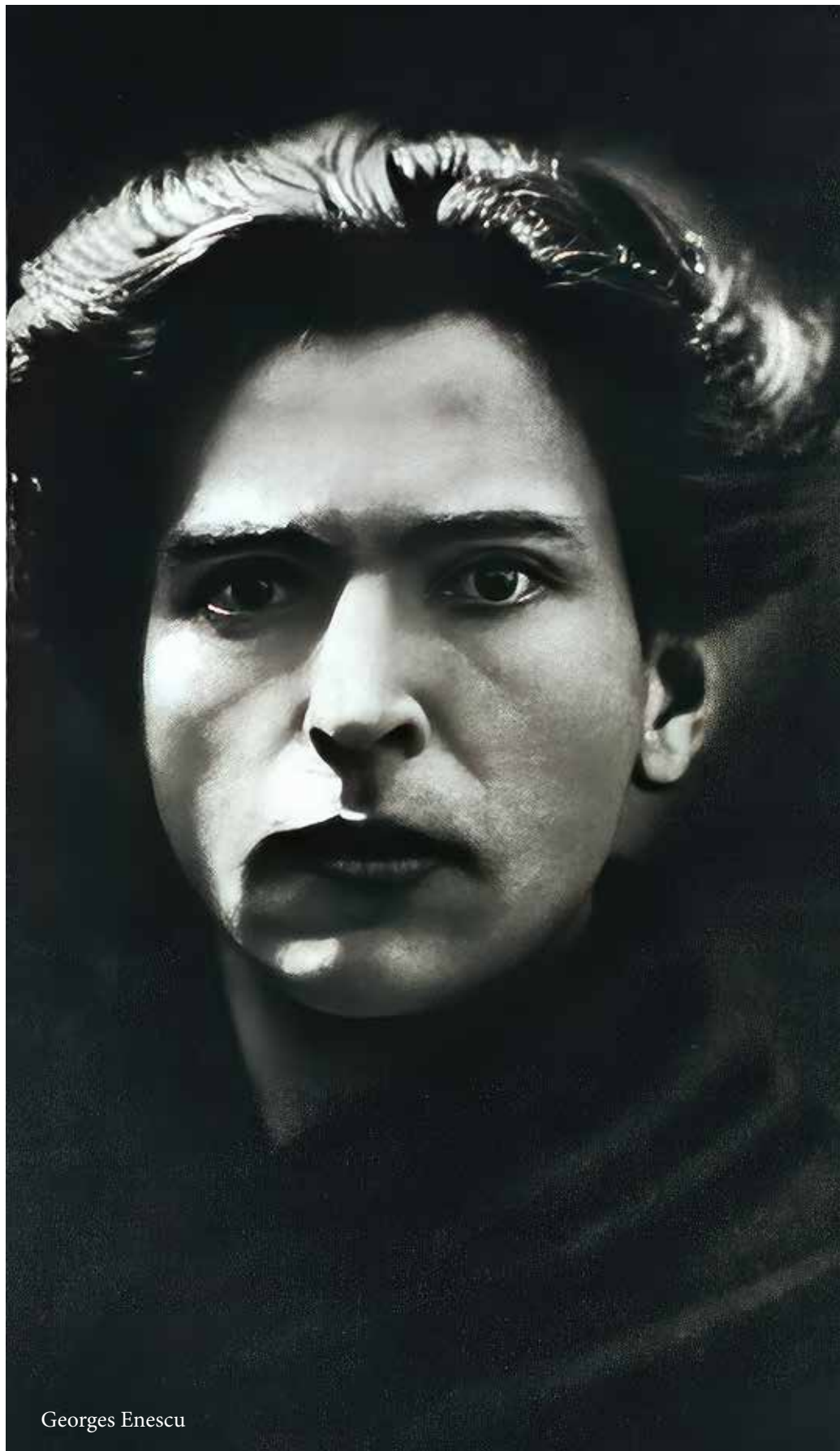
Niniejszego eseju nie mogę zakończyć ot tak, bez zastanowienia i bez przypomnienia incydentu, który w latach 90. przeżyłem w Bukareszcie. Korzystając z krótkiego pobytu w tym pięknym mieście postanowiłem zaspokoić ciągnące się latami pragnienie, by nabyć nuty *III Sonaty na skrzypce i fortepian op. 25* Georges Enescu, utworu zrodzonego z najgłębszej inspiracji. Kompozytor opatrzył swe arcydzieło podtytułem „*dans le caractère populaire roumain*”. Idąc za przykładem Beethovena, w jednym z punktów kulminacyjnych użył określenia „*con intimissimo sentimento*”. Dodajmy przy okazji, że dzieło to zostało wydane w Paryżu, a nie w Bukareszcie, gdzie jakby na mnie czekało, nawet po przystępnej cenie. Odnośnie tego wyrażenia, Beethoven w kwartecie smyczkowym op. 132 – jednym ze swych ostatnich arcydzieł – myśląc po niemiecku, ujął je w słowa: « Mit innigster Empfindung ». Każdy jest przecież nieznacznie odmienny, co należałoby uszanować. Ponadto Ludwig van Beethoven był pierwszym, który opatrzył charakter swej frazy tym nadzwyczajnym terminem. Na szczęście, zważywszy na zwyczaje minionej epoki, nie musimy się uciekać do labiryntu zawitych praw autorskich.

Jestem wciąż w Bukareszcie, w centrum miasta, wczesnym popołudniem. Nie mogąc znaleźć księgarni muzycznej zwróciłem się do przechodzącej nieopodal kobiety o wskazanie mi adresu poszukiwanego sklepu. Co prawda nie po rumuńsku, którego niestety nie znam lecz po francusku. Zatrzymała się, z przerażeniem wpatrzyła we mnie i uciekła. Czyż ten odruch nie był wyrazem lęku przed cudzoziemcem? „Lęku”. Wyżej wspomniana „dama z białym winem” na obcokrajowców patrzyła „z góry”.

Dlaczego nie skorzystać ze słowników i encyklopedii, by dowiedzieć się czegoś więcej o Rumunii, o Bukowinie i o urodzonych tam artystach. Szukając, natrafiłem na postać Itzika Mangera, niezwykle utalentowanego poety, który – w ostatnim okresie życia, zmieniając definitywnie miejsce zamieszkania – wypowiedział te oto słowa, niespotykane bodajże u nikogo innego: « *Wałęsałem się wszędzie za granicą, teraz będę się wałęsał u siebie* ». Nie wiem tylko dokładnie jakiego użył języka. Zastukam w bramę tradycji ustnej i, przy odrobinie szczęścia i cierpliwości, dowiem się dokładnie. „Szukajcie” w nadziei „znalezienia”.

Tym razem możemy dopiąć klamrę opowieści. Nieco wcześniej dorzucimy króciutką refleksję: w pewnych okolicznościach wałęsanie się jest bliskie dobrowolnej zsyłce. Nasz młodzieniec ruszył w drogę z tajną bibułą. Innych pociągało zupełnie coś innego. Co do mnie, zabrałem na wygnanie koncerty Vivaldiego i słownik frazeologiczny.

Ukończone 5/ 12/ 22  
SABAM Belgium



Georges Enescu